NR 38

W numerze 3 „Wyścig Pracy", czytamy:

SPORT I PRZEMYSŁ SPORTOWY.

ŁOWIECTWO.

REKORD POMYSŁOWOŚCI. RACJONALNE MYŚLISTWO. HODOWLA ZWIERZYNY. WALKA Z KŁUSOWNICTWEM. TECHNICZNE WIADOMOŚCI O BRONI. GDZIE MOŻNA NABYĆ DOBRĄ BROŃ I SPRZĘT SPORTOWY.

„Artykułem niniejszym przynosimy Czytelnikom naszym prawdziwie rewelacyjną niespodziankę — mianowicie:

Stosując się do przyrzeczenia podawania najlepszych źródeł — nabycia taniego, a dobrego sprzętu sportowego i łowieckiego — najsolidniejszych firm z tej dziedziny, zwiedziliśmy szereg warszawskich składów broni i sprzętów sportowych.

Według sądu, poświęcamy w artykule tym całkowitą uwagę właścicielowi składu broni i sprzętów sportowych Panu T. Falkowskiemu.

Egidą każdego dobrego kupca, czy przemysłowca — winno być — mały zysk, umiejętne zachęcanie do kupna drogą reklamy i zupełne zadowolenie każdego klijenta; w tej dziedzinie p. T. Falkowski zdobył *rekord pomysłowości*.

Pan T. Falkowski, każdemu, kto kupi u niego broń myśliwską — według cennika udziela gratis terenów łowieckich na przeciąg całego roku.

Ile osób nie omięłoby przyjemności polowania, lecz brak czasu, dobrej orjentacji w wyszukiwaniu terenów łowieckich, pozbawia ich tejże, a tereny zaoferowane przez pana Falkowskiego to — Puszcza Kampinowska, okoliczne lasy Puszczy Białowieskiej, lasy pod Spałą, nad Bzurą, Narwią, w Teresinie i szereg innych.



Wspaniały okaz białego łabędzia zabitego na oparzeliskach przez p. T. Falkowskiego.

Organizacja Firmy T. Falkowski spoczywa w rękach fachowca o 30-letniej praktyce — przebywającego szereg lat w stolicy wszechświatowej wytwórni broni Liège (Belgja) i posiadającego wszystkie tajniki wiedzy rusznikarstwa, sportu i łowiectwa. Pan Falkowski nietylko jest kupcem, lecz zamiłowanym, doświadczonym myśliwym i znanym sportsmanem.

Olbrzymie tereny łowieckie, dzierżawione przez p. T. Falkowskiego, mają mieć jednocześnie należytą pieczę, sprowadzi się na nie zwierzynę, racjonalnie rozmnoży kuropatwy, zające, a nawet założy się bażantarnię. Na pierwszym planie stoi tam ostra walka z kłusownictwem i wnykarstwem, a za tępienie drapieżników wyznaczone są specjalne nagrody pieniężne.

Gdyby podać wiadomości p. Falkowskiego o technice wykonania broni, o historji jego zdobyczy i przeżyć myśliwskich — w krainie białych i niebieskich lisów — musielibyśmy temu wiele miejsca i czasu poświęcić.

Wy, szanowni czytelnicy, najlepiej wyrazicie swoje uznanie, zapoznając się z tą firmą, a zaznaczamy, że firma p. T. Falkowskiego mieści się w Warszawie przy ul. Widok 22 tel. 504-93, najlepiej was obsłuży w kupnie i naprawie wszelkiego rodzaju broni, amunicji i artykułów sportowych".

P. Teodor Falkowski dawniej prowadził następujące firmy: jako założyciel firmy broniowej T. Falkowski i M. Szyrokoriadenko w Moskwie w 1907 r., jako prokurent i kierownik składu broni i tygodnika myśliwskiego „Ochotniczy Wiestnik" w Moskwie r. 1901, współpracownik firmy broniowej B. Ronczewski w Warszawie w 1895 r., kierownik biura zamówień i kontroli broni w Belgji — Liège, rue des Anglaise 9 w 1902—1904 r. właściciel firmy T. Falkowski i Ska w Antwerpji — Anvers, rue Broederode, 148 w 1920 r.

Cennik № 11 na dubeltówki, rewolwery i przybory myśliwskie został wyczerpany, nowy cennik № 14 firma uprasza żądać zawczasu, po wyjściu z druku będzie wysłany gratis.

Wszelkie zamówienia listowne firma wysyła w dzień otrzymania zlecenia. (Patrz ogłoszenie str. 616

CHRYSLER 80



PRZODUJE WSZYSTKIM CHRYSLEROM

Motor sześciocylindrowy. Wał korbowy wsparty na siedmiu łożyskach umożliwia szybkie i równomierne przyśpieszanie bez wstrząśnień. Sprężystość motoru pozwala regulować na bezpośredniej przekładni szybkość od 5 do 128 kilometrów na godzinę. Hydrauliczne hamulce, samoregulujące się i niezawodne, wykluczając możliwość poślizgu, działają niesłychanie równo i z wielką siłą. Równoległe, szeroko rozstawione resory umieszczone są blisko kół, co zapobiega wszelkim wahaniom maszyny na boki. Resory te są umocowane do ramy podwozia w gumowych oprawach. Osiem wspaniałych modeli karoserji, zarówno otwartych, jak i krytych, od 2 do 7-mio osobowych, dają najwybredniejszym możność wyboru. Chryslera Imperial "80" można obejrzeć w salonach wystawowych firm sprzedających Chryslery. Może on być dokładnie wypróbowany w ruchu, bez zobowiązania do kupna. Obejrzyjcie również Chryslery 72, 62 i 52. Chrysler buduje maszyny rozmaitych typów i w rozmaitych cenach!

JENRALNA REPREZENTACJA NA POLSKĘ I W. M. GDANSK: "AUTO-KONCERN" WARSZAWA
SALON WYSTAWOWY: WILCZA 9-A TEL. 123-27. BIURO: WIERZBOWA 8 TEL. 123-29
Chrysler Sales Corporation, Detroit, U.S.A.



DO MOICH SYNKÓW.

Kiedy będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
wtedy w ciemny las
o wiośnie...
I poraz pierwszy ujrzycie,
jak bór się budzi o świcie...
Pierwszy w życiu raz
usłyszycie las
w słońca blaskach zbudzony radośnie...

•

Na leśnym dalekim mszarze
głuszcowy tok wam pokażę...
Kogut zagra nam!
Podprowadzę sam
do drzewa...
Serce uderzy wam młotem...
Staniemy nad leśnem błotem...
Boski ranek ten
będzie — jako sen!
Zasłuchacie się, jak głuszec śpiewa!..

•

A potem przez całe życie
ilekroć myślą wrócicie
w ów radosny czas, —
opromieni was
wspomnienie...
Szumieć wam będzie rozgłośnie
daleka puszcza o wiośnie —
Tajemniczy las
oczaruje was
swym urokiem, cudnym nieskończenie!

Kiedy będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
zimą w biały las
na łowy...
I w lesie tym usłyszycie
w niewysłowionym zachwycie
śród śnieżystych drzew
trąb myśliwskich zew,
gdy obława rusza w bór zimowy...

•

A potem cisza dokoła...
Tylko pukanie dzięcioła
z głębi boru brzmi
śród odwiecznych pni
w gęstwinie...
Bezmierna cisza dokoła...
I tylko jastrząb zawoła
w górze gdzieś z pod chmur...
Biały, cichy bór
śni o łowach, łowcach i zwierzynie..

•

Zawrzaśnie nagle obława —
Sen pierzchnie — zbudzi się jawa!
Ze śniegowych leż
ruszy ku nam zwierz...
(Cudne łowy są na białej stopie!)
I nigdy synkowie mili
nie zapomnicie tej chwili:
naganiaczy krzyk...
granie psów.. i dzik!..
strzał Tatusia... — i farba na tropie!!

Juljan Ejsmond.



ZWIERZYNIEC „LIPNIAKI".

(Ze wspomnień myśliwskich).

Od dawna było mojem wielkiem pragnieniem założenie w Malinowszczyźnie większego zwierzyńca w parku, w którym zwierzyna czułaby się jak na swobodzie, nie utraciłaby cech dzikości i mogłaby stanowić przedmiot nietylko ścisłej obserwacji, kontroli i łowieckich studjów, lecz i polowania, gdzie ogrodzenie stanowiłoby przedewszystkiem przeszkodę do wkraczania i niepokojenia zwierzyny przez wszelkiego rodzaju dwunożne i czworonożne szkodniki oraz w którem wydajność gleby zapewniałaby naturalny pokarm zwierzostanowi, a zadawanie sztucznej paszy mogłoby się ograniczyć do normalnego podkarmiania w odkrytych lasach.

Na szczęście miałem taki rewir w swojem rozporządzeniu. Był to obręb o powierzchni 200 hektarów, na który się składało około stu hektarów stuletnich szpilkowych drzewostanów, z przewagą świerku, licznie przetkniętych dębem, osiką i brzozą; 10 hektarów stuletniej sosny, z dużą domieszką dębu i brzozy; 40 hektarów stuletnich lasów liściastych, o przewadze jesionu i wiązu; 30 hektarów dziesięcioletnich młodników; 4 hektary stawu z przepływającym ruczajem i kilkanaście hektarów łąki. Podszyt stanowiły jarzębina, leszczyna, kruszyna, kalina, maliny, miejscami wierzba, łoza oraz inne nasze krzewy, a pokrywę, prócz gałązkowych mchów i paproci w starym drzewostanie, w młodnikach nadzwyczaj bujny porost słodkich traw, groszków i miejscami pokrzywy. Słowem niezwykle wielką była wydajność gleby rewiru, a w stosunku do zwierzyny były to ulubione ostoje dawnych łosi, a obecnie sarn; z ptactwa zaś jarząbków oraz w młodnikach cietrzewi.

Przez dłuższy okres czasu w spełnieniu tego marzenia stawały mi na przeszkodzie względy finansowe. Ale przyszły dobre lata i w 1909 roku zwierzyniec stał się faktem dokonanym. Otoczył go dwu i pół metrowej wysokości ostrokół, przytwierdzony do dębowych słupów. Dla dogodzenia wszystkim naturalnym wymogom, znajdującej się w parku zwierzyny, sporządziłem dla tego obrębu osobny plan leśnego gospodarstwa. Oczywiście, że uwzględniłem w nim jednocześnie i estetyczną stronę — odkrywając w niektórych miejscach rozległe, a piękne widoki i zwiększając optyczne złudzenie przestrzeni przez, wyłącznie w tym celu, przetrzebione tryby, przecinające zwarte gąszcze. By nie koncentrować zwierzyny w jednem miejscu, liczne pólka z uprawą ozimin, bulwy, żarnowcu i innych karmowych roślin porozrzucałem po całym rewirze.

W chwili zamknięcia, to jest wykończenia płotu, znalazło się wewnątrz kilkanaście saren, które od dawna tam przebywały. Z nastaniem wiosny wpuściłem bażanty i kanadyjskie indyki. Pierwsze w ilości dwudziestu pięciu sztuk należały do odmiany mandżurskiej, którą uważałem za najodpowiedniejszą dla naszego klimatu, a cztery kanadyjskie indyki (3 kury i 1 kogut) sprowadziłem z Kanady. Hodowlę jednych i drugich prowadziłem zupełnie na dziko. Chodziło mi o zwierzynę, a nie o mięso. Z chwilą, gdy ptak przestaje być dzikim, nie może być mowy o polowaniu, cały bowiem jego urok polega na trudności zdobycia zwierzyny i jeżeli ta trudność całkiem upada, niema polowania, pozostaje tylko mord, wykonywany przy pomocy palnej broni zamiast kucharskiego noża. Toteż wszelkie hodowle bażantów przy pomocy nasiadek, pielęgnowaniu młodych, zadawaniu im karmy wedle przepisanej recepty, utrzymywanie w woljerach i t. d., uważam za hodowlę drobiu, godną dobrej ochmistrzyni, ale nie myśliwego. Strzelanie do bażantów, wypędzonych zrana do zarośli, po odebraniu ich od indyczek — prócz objektu strzału mało różni się od strzelania do gołębi w „tir aux pigeons" lub do martwych krążków. Stanowi to, mojem zdaniem, niesympatyczną parodję polowania i, że tak powiem, jego degenerację. Nie chcę jednak potępiać przez to wyżej wspomnianych sposobów hodowli, owszem, uważam je za wielce wskazane i pożyteczne, ale nazywajmy rzeczy po imieniu — są to tylko mniej lub więcej rentujące hodowle bardzo smacznego mięsa, lub rozpłodowych okazów, ale nie zwierzyny, mogącej stanowić przedmiot prawdziwego polowania. Dobre może to „łowy" dla ludzi, szukających rozrywki na świeżem powietrzu i lubiących w święto „popukać", ale nie może dać zadowolenia i sprawiać przyjemności prawdziwym myśliwym.

Sprowadzone bażanty i indyki wypuściłem w zwierzyńcu po zachodzie słońca, polecając je opiece Św. Huberta i redukując zabiegi hodowlane ze swej strony do tępienia szkodników i podkarmiania. Oczywiście, że przy tym sposobie piorunujących rezultatów nie było. Pozostały na razie zaledwie dwa koguty i kilkanaście kur, gdyż reszta, nieprzywykła do miejsca, odrazu wywędrowała. Ale zato wylęgło się i wyhodowało własnym przemysłem około 10 stadek bażantów, od których po kilku latach doczekałem się wcale pięknego zwierzostanu. Niczem się też polowania na te ptaki w moich „Lipniakach" (tak się od nazwy uroczyska nazywał zwierzyniec) nie różniły od polowań na nie w lasach dzikiej Mandżurji lub na Kaukazie. Straciły przytem bażanty ogólnie im przypisywaną głupotę, stając się względnie czujnymi i ostrożnymi.

Znalazłszy w parku zupełny spokój i warunki, odpowiadające ich naturalnym wymogom, ptaki dobrze pilnowały miejsca, emigrując stosunkowo w niewielkiej ilości, nieprzekraczającej 10% ich ogólnej liczby.

W zwierzyńcu, począwszy od listopada, wystrzeliwałem tylko koguty, a po za jego granicami,

od pierwszych dni września, zabijałem bez różnicy każdą spotkaną sztukę. Późną jesienią, przed wypadnięciem śniegów, urządzałem jedno większe polowanie, w którem przyjmowało udział sześć strzelb, a rezultat wynosił, w ostatnich latach przed wojną, do 80 kogutów. Oczywiście, że prócz tego, zanim ilość ich nie została mniej więcej zredukowaną do wskazanej normy, polowałem w parku, stosując sposoby niewystraszające ptaków, a całkowity roczny odstrzał bażantów sięgał do 200 sztuk.

W walce ze szkodnikami główne miejsce zajmowało wyławianie jastrzębi, które, poczuwszy obfity żer, licznie ściągały do zwierzyńca. To też dwa kosze z żywemi gołębiami pracowały w zimie i w lecie, dając w rocznym rezultacie do 60 sztuk pierzastych drapieżników. Największą ilość stanowiły gołębiarze, lecz i dużo innych odmian, nie wyłączajac nawet niewinnych pustułek i puszczyków, wpadało do żelaza.

Bez porównania trudniejszą była walka z drobnymi czworonożnymi szkodnikami. W zimie, gdy spadł śnieg, łatwo i prędko zostawały otrapiane i zabijane, ale w lecie, pomimo stosowania różnego rodzaju pułapek, trudno im było poradzić. Jak wielkie zniszczenie śród ptactwa może spowodować jeden tchórz, poznałem przy wykopywaniu go z gniazda, w którem leżały łupinki od 50 bażancich jaj.

Hodowla indyków kanadyjskich, które nawet w zimie w czasie większych śniegów, mało korzystały z sypanego im ziarna, postępowała ponad wszelkie moje oczekiwania. Wyśmienicie dawało sobie radę to ptactwo, rozgrzebując silnemi nogami warstwę śniegu i mrowiska. Począwszy od żab, żołędzi, wszelkich jagód, niczem nie gardziły. Mrozy znosiły doskonale, słowem czuły się jak w swojej dalekiej ojczyźnie. Młodym, tylko co wylęgłym z jajek, indyczętom, nie szkodziły ani deszcze, ani chłody, ani wogóle to wszystko, co zabójczy wywiera wpływ na swojskie indyki. Widziałem niejednokrotnie, jak stara indyczka oprowadzała swe małe wielkości przepiórek u brzegów stawu, chodząc po wodzie jak kaczka. To też niezmiernie jest ciekawem, dlaczego zachodzi tak wielka różnica w odporności na wszelkie przeciwieństwa pomiędzy dzikimi, kanadyjskimi indykami a naszymi swojskimi. Czyżby miały to powodować klimatyczne warunki ojczyzny jednych i drugich? (indyk swojski pochodzi z Meksyku) — czy też przez długą hodowlę u nas, uległy swojskie indyki degeneracji? Bo też prócz odporności nadzwyczaj wielką była różnica we wzroście. Młode samce, które się wylęgły w moim zwierzyńcu, dochodziły w drugim roku na wiosnę do 25 funt. (10 klg.) wagi, gdy takich rozmiarów rzadko dosięga nawet stary, tuczony, swojski indyk.

Rozmnażały się bardzo prędko. W pierwszym roku w jesieni miałem już około dwudziestu i gdyby nie podkopujące się do zwierzyńca lisy, które stanowiły plagę na ptactwo, w krótkim czasie mógłbym mieć ich bardzo dużo. Trzymały się przeważnie starych mieszanych lasów, wychodząc zrana na żerowisko na łąki i na brzegi stawu do szuwarów, w których poławiały ślimaki i żaby.



Z zabiegów hodowlanych: Łapanie zajecy. Krośniewice.

Początkowo, to jest, pierwsze sprowadzone nie były dość dzikie, co też mnie na razie źle do nich usposobiło. Ale całkiem inaczej na widok człowieka reagowało to ptactwo w drugim roku, gdy usunąłem sztuki importowane i zacząłem je strzelać. Wówczas prędko nabrały rozumu i po paru latach stały się na tyle ostrożne, że zabicie indyka wymagało fatygi, czasu i pewnej umiejętności w tem polowaniu.

Ze skrzydeł swych korzystały wyłącznie w wypadkach koniecznej potrzeby, starając się zwykle uchodzić na nogach, na których też biegały bardzo prędko. Nocowały wysoko na świerkach lub dębach, wzlatując na nie z silnem łopotaniem, skąd planowywały zrana na żerowisko.

Polowałem na nie wieczorami, podsłuchując miejsca ich noclegu. Podszedłszy ostrożnie i wypatrzywszy koguta przez lornetkę, strącałem go z drzewa sześciomilimetrową karabinową kulą.

Następną wpuszczoną do Lipniaków zwierzyną były trzy daniele, a po roku jeszcze dwa młode jelenie. I jedne i drugie chowały się dobrze. Do danieli byłem początkowo uprzedzony, widząc w nich

nawpół swojską, parkową zwierzynę, ale po paru latach zasadniczo zmieniłem ten pogląd. Pod każdym względem była to wielce pożądana hodowlana zwierzyna. Cechowała ją nadzwyczajna odporność na śniegi i chłody i wielka zdrowotność. Nie były wybredne w wyborze karmy, nie mąciły życia żadnej innej zwierzynie, a co najważniejsze prędko zupełnie zdziczały.

Nie dałoby się tego powiedzieć o jeleniach. Sarny i daniele bały się ich i ustępowały im na każdym kroku. Dość było, by jeleń wieczorem wyszedł na łąkę, w jednej chwili uchodziła stamtąd wszelka żerująca zwierzyna. Wpuszczone sztuki nie dziczały, szczególnie byczek wciąż się włóczył z tyłu za każdym wchodzącym do Lipniaków, a w drugim roku, gdy już podrósł i miał rogi, nawet próbował szarżować. Po dwóch latach stał się już niebezpiecznym i byłem zmuszony przy pomocy śrutowych strzałów w miękką część ciała, utrzymywać go w należytym dla siebie respekcie. To dnocześnie ogólną ilość zwierzyny do ilości naturalnej karmy zwierzyńca.

Oczywiście, że charakter polowań tych był inny, niż w lasach otwartych. O ile tam, po określeniu ogólnej cyfry odstrzału, strzelało się do rogaczy, częściowo tylko uwzględniając ich jakość, o tyle w zwierzyńcu przeznaczało się w tym celu pojedyńcze okazy, po długiem i ścisłem obznajmieniu się z każdą sztuką przez lornetkę, podczas wieczornych czatów w miejscu żerowisk. Pomimo ogrodzenia ani trochę nie było to łatwem. Nieraz trzeba było poświęcić kilka i więcej wieczorów, by spotkać upatrzoną sztukę. Trudność ta, połączona z kulowym strzałem i przyjemnością obserwowania życia zwierzyny, stanowiła osobliwy urok tych polowań na wieczornych czatach i podchodach.

Z miejscowego ptactwa przebywały w Lipniakach jarząbki. Rewir ten przeznaczyłem jako rezerwat dla tej pięknej zwierzyny i nigdy ich tam nie strzelałem. Pomimo to jednak, że jarząbkom ni-



Sieć do łapania kuropatw zimą. Krośniewice.

też nie rzucał się tylko na mnie i na gajowego zwierzyńca, z którym żył w zgodzie. Najwidoczniej nas poznawał i odróżniał, szarżując bez namysłu na każdego obcego, który się znalazł nie w naszej obecności. Oczywiście, że stał się przez to najlepszym stróżem zwierzyńca. Bano się go powszechnie i nikt ogrodzenia nie śmiał przekroczyć.

Złośliwość tę miał nietylko względem ludzi. Raz na polowaniu, gdy sarna przerwała przez nagankę i naskoczyła na niego, jak zwykle podążającego z tyłu za hucznikami, tak ją w bok uderzył rogami, że biedaczka upadła na miejscu. Naganka ją podniosła ze złamanemi żebrami i musiano ją dostrzelić.

Naogół wszystka zwierzyna chowała się dobrze, dawała dobry przyrost; niektóre sarny przyprowadzały aż po troje sysaków, a łanie, w zależności od wieku, po jednym i po dwoje.

Przyrost normowałem odstrzałem, dążąc do utrzymania stosunku: jeden kozioł na każdą sarnę i na każdego daniela po dwie łanie, redukując jeczego nie brakło w zwierzyńcu, nie mogłem się doczekać większej ich ilości. Rok rocznie wylęgało się po pięć — sześć stadek, przebywało do połowy września po kilkadziesiąt sztuk, a z nastaniem zimy znów w tych samych gąszczach było tyleż par co i w roku zeszłym. Najwidoczniej we wrześniu emigrowały. Nie znam zupełnie dokładnie natury, życia i charakteru tego tajemniczego ptaka — nie mniej jednak przypuszczam, iż musi być w nim nadzwyczaj silnie rozwinięte poczucie własności w stosunku do zajmowanego miejsca. Że na pozór cichy i łagodny jarząbek musi być wielce wojowniczego usposobienia i nietylko przybyszów, ale nawet i własnego potomstwa nie dopuszcza do osiedlania się w tych samych gąszczach.

Wrzesień był czasem ich miejscowych przelotów; niejednokrotnie przekonałem się o tem, spotykając je wówczas w uroczyskach i lasach w których ich nigdy przedtem, ani potem nie było. A raz nawet, ku wielkiemu memu zdziwieniu, ujrzałem jarząbka (we wrześniu) w czystem polu na rżysku, w oddaleniu o kilometr od lasu.

Ciekawem jest, jak prędko umie zwierzyna ocenić spokój w rewirze. Otóż w stosunku do mego zwierzyńca wnet to poznały cietrzewie, i z małym wyjątkiem lęgły się w nim wszystkie cieciorki z sąsiednich rewirów i przebywały podczas okresu lenienia stare wypiory. Dopiero gdy młode podrosły, wyprowadzały je starki z Lipniaków, a koguty po zupełnem zakończeniu zmiany opierzenia wracały na sąsiednie łąki i do przyległych zarośli.

Na stawie roiło się od kaczek. W jesieni prócz lęgowych zlatywały też kaczki z okolicznych stawów i sąsiedniej rzeki. Były ich tam setki. We wrześniu, gdy polowałem na nie z czółna, zrywały się barwnymi bukietami, dając możność licznych i pięknych strzałów.

Pilnował parku od początku do końca jego istnienia gajowy Maksym. Po kilku latach tak się dząc, coś podpatrując, nauczył się Maksym cicho jak kot chodzić po lesie. To też nieraz ze zdziwieniem i nerwowym wstrząsem spostrzegałem go stojącego tuż za memi plecami, gdy oparty o drzewo lub siedząc w czatowni, wypatrywałem przez lornetkę zwierzynę.

Wiele też ciekawych spostrzeżeń wyniosłem z moich Lipniaków. Często, obserwując wieczorami pasące się sarny, miałem możność ocenienia ostrości ich słuchu. Otóż szmery, których ja nie słyszałem nawet o dziesięć kroków, sarny pochwytywały już z odległości pięciuset, a czasem i więcej. To też przypuszczam, że nadzwyczajna ostrość słuchu u niektórych gatunków zwierzyny, stanowi główną przyczynę przechodzenia jej przez nagankę podczas pędzenia. Zwierzyna, słysząc zachodzących na stanowisko myśliwych, a w mniejszych miotach niewątpliwie i stojących już na stanowi-

Z KONKURSU WYŻŁÓW POD POZNANIEM



Zakładanie na trop daniela. Fot. St. Markiewicz, Poznań.

zrósł ze zwierzyną, zapoznał z jej zwyczajami i naturą, że sam się stał leśnym człowiekiem; nieraz ze zdziwieniem słuchałem jego trafnych spostrzeżeń i w wielu wypadkach zasięgałem wskazówek. Potrafił on po kilku latach ciągłej obserwacji zachowania się zwierzyny i ptactwa nietylko wnet wykryć w Lipniakach obecność jakiegokolwiek szkodnika, ale nawet na kilka dni przepowiedzieć pogodę. Pod tym względem osiągnął tak wielki autorytet u miejscowej ludności, że bez poradzenia się z Maksymem nie zaczynano ani żniw ani sianokosu. I w istocie mogę stwierdzić, że te jego przepowiednie były nieomylne na okres do czterech dni. Powodował się on głównie czasem wyjścia zwierzyny na żerowisko oraz krzykiem bażantów przy wieczornych zapadach.

Spędzając cały dzień w parku, zawsze coś śle-sku, wyczuwa zasadzkę, której bez porównania więcej się obawia, niż głośno zachowujących się huczków. Powiedziałbym również, na zasadzie powyższych mych obserwacyj, że na ogół wielce jest przeceniany zmysł powonienia u zwierząt. Niejednokrotnie, gdy pasły się sarny i daniele w odległości półtorasta kroków ode mnie, nie czuły mnie przy najpomyślniejszym dla nich wietrze nawet i wtedy, gdy zapalałem papierosa.

We wrześniu 1913 roku złożył mi wizytę ryś. Obecność drapieżnika niezwłocznie rozpoznał Maksym i zaraz zameldował pierwszego wieczoru, że jest „coś złego w Lipniakach". Na drugi dzień zrana poszliśmy razem do parku. Na wstępie zwrócił Maksym uwagę na nienaturalne skrzeczenie sójek. Otóż w istocie w gąszczu, w którym krzyczały zaniepokojone ptaki, znaleźliśmy zaduszoną sarnę.

Leżała z wyjedzonym małym kawałkiem miesa na szyi i przykryta mchem. Wobec tak charakterystycznych oznak zachowania się szkodnika, nie ulegało wątpliwości, że była to robota rysia. Ogarnęło mnie podwójne uczucie. Z jednej strony szkoda mi było moich saren, nie wątpiłem bowiem, że nie na jednej sztuce to się skończy, a z drugiej rad byłem z tego najrzadszego „gościa".

Krwawo znaczył ryś swe ślady w Lipniakach. Codziennie znajdował Maksym nową ofiarę: to zaduszoną sarnę z wyjedzoną piersią lub szyją, to zająca bez głowy, to zakopanego w liściach bażanta, którego długi ogon wyglądał z przykrycia.

Trudne były w tym czasie Lipniaki do opolowania. Gąszcze, wysokie trawy, poplątane krzewy stanowiły całość tak nieprzystępną i uciążliwą do przebycia dla huczków, że o zwykłem pędzeniu nie mogło być mowy. Próbowałem przy pomocy kilku gajowych brać małe mioty, ale na nic się to nie zdało. Poszukiwania w przyległych ostępach były również bezskuteczne. Nigdzie rysia nie było, a po nocy znów, jak na urągowisko znajdowaliśmy uduszoną sztukę zwierzyny.

Po dwóch tygodniach nocnych mordów ryś wywędrował — a wykryliśmy w różnym czasie uduszonych przez niego 16 saren, kilkanaście zajęcy i tylež bażantów.

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

O URZĄDZANIU I PROWADZENIU WIĘKSZYCH POLOWAŃ NA ZWIERZYNĘ DROBNĄ.

Organizacja większych polowań nie jest rzeczą tak prostą, jakby się niewtajemniczonym wydawać mogło, jeśli polowania te wykonane być mają według zasad i wymagań obecnej kultury łowieckiej. Pomiędzy polowaniem źle lub dobrze zorganizowanem zachodzi mniejwięcej taka sama różnica, jak pomiędzy potrawą podaną na zabrudzonem czy też na idealnie czystem nakryciu.

Może na danym terenie łowieckim być dużo zwierzyny, lecz jeśli polowanie będzie niedbale zorganizowane i poprowadzone, — to uczestnicy względnie goście myśliwi, doznają mniej dodatnich wrażeń i przyjemności, niż tam, gdzie zwierzyny jest mniej, lecz polowanie samo pod każdym względem urządzone i prowadzone wzorowo.

Polowania zbiorowe na zwierzynę drobną urządzane być mogą w sposób dość rozmaity, zależnie od warunków miejscowych, jednakże w ogólności praktykowane są następujące systemy:

I polowanie z naganką,
II polowanie w tak zwane kotły,
III polowanie ławą czeską.

Każdy z tych systemów ma swoje właściwości i wymaga odrębnej organizacji, — co będzie poniżej szczegółowiej omówione.

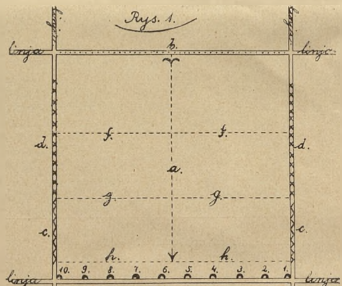
I. Polowanie z naganką. — Z polowań zbiorowych, ma ten system polowania najszersze zastosowanie, może bowiem być wykonane zarówno w lesie jak i w zaroślach i gołych polach; zarówno na terenie równym jak i wzgórzystym, poprzerzynanym parowami i t. p. Pozatem zwolennikami tego systemu są z konieczności wszyscy ci, którym forsowne chodzenie sprawia trudność.

Przy tym systemie polowania myśliwi stoją w miejscu na oznaczonych stanowiskach, a naganka ustawiona równolegle do linji myśliwych posuwa się stopniowo w jej kierunku, napędzając zwierzynę znajdującą się w miocie.

Sam sposób prowadzenia naganki bywa różny, zależnie od warunków miejscowych, panującej tam kultury łowieckiej i od okoliczności, dla kogo urządzane jest polowanie[1]).

Prowadzenie naganki w polu lub niskich zagajnikach, gdzie cały teren miotu może być objęty wzrokiem, nie przedstawia poważniejszych trudności, natomiast o wiele trudniej jest poprowadzić naganke prawidłowo — w lesie, szczególnie gęsto podszytym lub w starszych, gęsto zwartych zagajeniach, a trudność ta powiększa się, gdy mioty są długie. Tam, aby ludzie stanowiący naganke nie stracili kierunkku i nie pogubili się, lecz utrzymali linję i odstępy tak, jak byli na początku rozstawieni, trzeba już naprzód porobić pewne przygotowania, któreby im ułatwiły prawidłowe wyjście na linję myśliwych. W tym celu, wyznacza się tyczkami lub przerębuje w poprzecz miotu t. j. równolegle do linji myśliwych, parę lub kilka wąziutkich wiz, zależnie od długości i zwartości miotu.

W czasie pędzenia zatrzymują się naganiacze na wzmiankowanych wizach, by po należytem wyrównaniu się, na umówiony sygnał prowadzącego naganke, ruszyć znów w kierunku następnej wizy i t. d. aż do końca miotu. Funkcjonarjusz prowadzący naganke, powinien iść w linji naganiaczy, środkiem miotu, lecz, aby i on nie stracił kierunku i nie zboczył w prawo lub w lewo, pociągając



Rys. 1.

za sobą naganiaczy, powinien mieć również wytkniętą lub przeciętą linijkę przez całą długość miotu.

W lesie wysokim bez podszycia lub z podszyciem niskiem, można zamiast przecinania wiz, porobić na starszych drzewach znaki wapnem — 3-y metry wysoko nad ziemią, od strony naganki, do których ta doszedłszy, zatrzymuje się i wyrównywa.

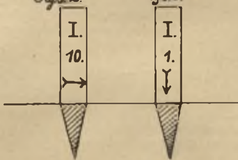
Przy dobrze zorganizowanem polowaniu, obstawia się również boki t. j. skrzydła miotu czyli flanki.

[1]) Wiadomem jest, że n. p. polowania reprezentacyjne muszą być wykonywane bardzo precyzyjnie w najdrobniejszych szczegółach.

(Przyp. autora).

Wiadomo, że lis, a do pewnego stopnia i dzik, chętnie się wymyka z miotu bokiem, a zając tylko do pewnych granic daje się pędzić na przód, po czem stara się cofnąć pomiędzy naganiaczami z powrotem w kierunku miejsca, skąd go ruszono, a gdy mu się to nie udaje, próbuje z miotu wymknąć się bokiem. Dlatego obstawianie boków miotu czyli skrzydeł, jest rzeczą wskazaną, a wprost niezbędną przy miotach długich, przy pędzeniu gęstych zagajników i zarośli oraz przy miękkiem bezmroźnem powietrzu.

Rys. 2. Rys. 3.



Są zwolennicy obsadzania skrzydeł przez myśliwych. Ja, osobiście jestem temu przeciwny z różnych względów, a przedewszystkiem ze względu na bezpieczeństwo samych myśliwych, — a to jest wzgląd najważniejszy, jaki w pierwszym rzędzie, przy urządzaniu wszelkich polowań, należy mieć zawsze na uwadze. Myśliwi — a szczególnie młodzi i mniej wytrawni, — stojący na skrzydłach najbliżej głównej linji myśliwych, w gorączce gęstego strzelania przy licznie przebiegającej w różnych kierunkach zwierzynie, łatwo wypalą w kierunku tej linji — i — o wypadek nie trudno!

To też najwłaściwiej jest, gdy myśliwi stanowią **jedną prostą linję**, a skrzydła obstawiane są ruchomymi flankjerami zaopatrzonymi w kolorowe chorągiewki, któremi poruszając, powstrzymują i odpłaszają z powrotem, zwierzynę usiłującą wymknąć się z miotu.

Flankjerów ustawia się po obu stronach miotu, poczynając od linji myśliwych, tak daleko w stronę naganki, jak daleko wystarczą.

Obstawienie boków miotu flankjerami daje znaczną przewagę myśliwym zajmującym stanowiska narożne t. j. stanowiska pierwsze i ostatnie, albowiem zające chcące koniecznie przedrzeć się przez linję flankjerów, biegną przeważnie wzdłuż ich linji i w rezultacie wychodzą na strzał stanowiska narożnego. Natomiast stanowiska Nr. 2 i 3, oraz oba stanowiska przedostatnie są do pewnego stopnia upośledzone, jeżeli bowiem, zwierzyna idzie na nie od strony flankjerów, to ze względu na obecność tych ostatnich, nie mogą oni strzelać w miot, lecz muszą ją wypuścić poza linję myśliwych, o ile jej przedtem nie ubije sąsiad, mogący strzelać w kierunku środka miotu. Dotyczy to miotów w polu, w rzadkim lesie i niskich zagajnikach, albowiem w starszych, gęsto zwartych zagajeniach, gdzie strzał możliwy tylko poza linję, niedogodność ta odpada.

Gdyby jednakże chodziło o usunięcie tej niedogodności w innych miotach, w takim razie można najbliższą część skrzydeł od linji myśliwych, na długość 150 — 200 metrów, w miejsce flankjerów obstawić fladrami t. j. sznurami zaopatrzonymi w różnokolorowe szmaty w kształcie zwisających ku ziemi wstążek, a dopiero pozatem w kierunku naganki staliby ruchomi flankjerzy z chorągiewkami. Wówczas myśliwi zajmujący bliskoskrzydłowe stanowiska zyskaliby swobodę strzelania w kierunku skrzydeł.

Takie obstawienie skrzydeł zabezpiecza jednocześnie od wypadku w razie oddania strzału przez roztargnionego myśliwego w stronę flanki, obsadzonej na całej długości ludźmi.

Obok nakreślony rysunek nr. 1, uwidocznia miot przygotowany w myśl poprzednio omówionych szczegółów:

a) linja myśliwych obejmująca 10 stanowisk;
b) rozstawiona naganka;
c) rozciągnięte fladry;
d) rozstawieni flankjerzy;
e) wytknięta linja dla prowadzącego naganke;
f) pierwsza linja dla wyrównania naganki;
g) druga linja dla wyrównania naganki;
h) trzecia linja dla wyrównania naganki, na której naganiacze zatrzymują się i nie dochodząc do stanowisk myśliwskich, schodzą z miotu w prawo lub w lewo, stosownie do tego, w jakim kierunku mają się udać do następnego miotu.

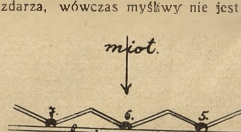
Wszystkie wyżej opisane czynności połączone z przecinaniem lub wyznaczaniem wiz dla naganiaczy i prowadzącego naganke, powinny być wykonane na kilka tygodni przed polowaniem, aby zwierzyna poruszona przy tych robotach miała czas znów się osiedlić w miotach, wzgl. oswoić się z dokonanemi tam zmianami.

Stanowiska dla myśliwych, o ile te nie są stałe, mogą być wyznaczone bezpośrednio przed polowaniem.

Ilość stanowisk zależną jest od szerokości miotów, przyczem odległość pomiędzy stanowiskami w lesie, nie powinna przekraczać 50 metrów czyli około 70 średnich kroków, jeżeli myśliwi mają ostrzeliwać obie strony, lub metrów 35 czyli około 50 kroków, jeżeli mają strzelać tylko w jedną t. j. prawą lub lewą stronę od stanowiska. Dalszych odstępów należy unikać, gdyż powodują dużo postrzałków.

System strzelania tylko w jedną stronę, (praktykowany szczególniej przez niemców), przyczem myśliwi stoją bokiem do pędzonego miotu, jest wskazany w tym wypadku, jeżeli linja obstrzału jest wąska i obie jej ściany stanowią gęsto zwarte zagajniki lub zarośla.

Ten system nadaje się jedynie tam, gdzie przebywa wyłącznie zwierzyna drobna, jak zając, królik, — gdzie zatem wystarcza stać z bronią śrutową w ręku. Natomiast jeśli przy polowaniu na zwierzynę drobną, wybiegnie z miotu dzik, co się często zdarza, wówczas myśliwy nie jest w stanie zmienić broń na kulową i strzelić do zwierza, zanim zniknie w przeciwległych gąszczach. Przy takich miotach jest praktyczniejszy system stałych stanowisk z wizami dla myśliwych — o czem będzie poniżej.



Rys. 4.

Do wyznaczania stanowisk używa się powszechnie odpowiednio przyrządzonych deszczułek lub palików, długich około 80 ctm. i tak grubych, aby po ich zaciosaniu w górnej części na płasko, można było wypisać numery miotów i stanowisk. Paliki wbija się w ziemię tak silnie, aby w razie potrzeby myśliwy mógł na nich oprzeć broń.

Na palikach wypisuje się górą numer miotu liczbami **rzymskiemi**, a poniżej numer stanowiska

liczbami arabskiemi. Pozatem umieszcza się jeszcze niżej strzałkę wskazującą, w którym kierunku, po skończonym miocie, myśliwi udać się mają. (Rysunek 2).

Jeśli zbierać się mają n. p. przy stanowisku pierwszem, w takim razie na tym paliku stanowiska strzałka powinna wskazywać na dół, co oznacza, że odnośny myśliwy pozostaje na miejscu i oczekuje zejścia się reszty towarzyszów, (rys. 3), poczem udają się do następnego miotu.

Jeżeli myśliwi są z miotu do miotu podwożeni, w takim razie powózki winny być również ponumerowane (tabliczka z numerem zawieszona w widocznem miejscu na uprzęży koni), aby każdy z uczestników, wsiadłszy na punkcie zbornym do powózki naznaczonej mu przez gospodarza, wiedział już potem, gdzie jest jego miejsce i jak je odszukać.

Są to na pozór drobne szczegóły, lecz przy udziale większej ilości myśliwych niezmiernie ważne, zapewniają bowiem pewien ład i skład i zapobiegają niepotrzebnej nieraz bieganinie, zbytecznym, a nużącym gospodarza pytaniom, nawoływaniom i t. p. — co wszystko czyni polowanie takie mało poważnem, mniej kulturalnem i w rezultacie mniej przyjemnem.

Stanowiska powinny być wyznaczone w linji prostej, w ścianie pędzić mającego się miotu, w ten sposób, ażeby myśliwy stanąwszy przy paliku stanowiska, nie był widziany na linji myśliwych, czyli linji obstrzału.

Przy miotach w bardzo gęstych zagajeniach, gdzie oprócz zwierzyny drobnej może być i dzik, wskazanem jest przecięcie od stanowisk, pod kątem — 30 —35° wąziutkich wiz*) lub podkrzesanie gałęzi na drzewkach od dołu na 1 metr szeroko, w ten sposób, aby się one w środku pomiędzy stanowiskami spotykały. Wówczas każdy z myśliwych widzi, jaka zwierzyna przemyka się przez te wizę, i przed jej wyjściem na linję obstrzału, ma czas wziąć do ręki odpowiednią broń. Rysunek 4, na którym naznaczone są 3 stanowiska i pomiędzy niemi omawiane wizy, — objaśnia to bliżej.

F. ROŻYŃSKI.

*) W lasach państwowych tego rodzaju operacje nie są dozwolone bez specjalnego zezwolenia.



Z POLESIA.

I.

Podczas moich letnich peregrynacyj po mszarach i błotach starego Polesia skonstatowałem naogół doskonały stan wylęgu cietrzewi. Stadka były pełne, po 5 — 8 sztuk, bardzo mało cieciorek jałówek. Ponieważ, jak pisałem o tem, wiosna była katastrofalnie spóźnioną, należało się spodziewać też ogromnie spóźnionych lęgów. Tymczasem, ku memu zdziwieniu, w dniu otwarcia polowania 16-go sierpnia na miłe „tetrao-tetrix'y" — spotykało się już zupełnie prawie koguciki. W stadkach przeważała ilość samiczek, tak, że zwykle nie bywało więcej nad 2 — 3 osobniki płci brzydkiej. Dzięki Bogu, szczodra ręka świętej matki przyrody dąży widocznie, jak zawsze, do unormowania etatów. Należy więc stanowczo spodziewać się wielkiej ilości czarnych trubadurów na tokach roku przyszłego, komu Bóg da doczekać, oczywiście, jeśli pogoda dopisze tym czarownym ucztom wiośnianym. Wogóle, polując już lat ze czterdzieści na Polesiu, zauważyłem znaczny przyrost rodu „teteruków", których ilość w ostatnich latach przedwojennych dążyła, niestety, do zmniejszenia się. Bezpośrednio po wojnie etaty były też mizerne (w niektórych, objętych działaniem wojsk okolicach przypisuję to nawet gazom trującym) — lecz już po latach kilku można było zauważyć stopniowy i znaczny przyrost. Oczywiście, wielką rolę odgrywa pod tym względem, zmniejszenie się liczby kłusowników na skutek konfiskat broni przez naszą dzielną policję państwową oraz coraz większą ilość interesujących się łowiectwem właścicieli ziemskich. Takie naprzykład obszary idealnie pilnowane i prowadzone, jak ordynacja Dawidgródecka księcia Karola Radziwiłła, tereny Poleskiego Tow. Łowieckiego i wiele innych, służą za rezerwaty zwierza i ptactwa — promieniując na dalekie nieraz okolice. Instytucja delegatów powiatowych też nie małe przynosi korzyści sprawie rozmnoży zwierzostanów. Jeśli dodać do tego jeszcze wpływ nowej ustawy, o ile takowa przestrzeganą będzie, to można stanowczo mieć różowe horoskopy na najbliższą przyszłość. Największą plagą, jak zawsze, są wałęsające się zgraje poczciwych kundelków z pastuszkami oraz masowe wybieranie jaj wiosną.

Ustawa Łowiecka, wyborna sama przez się, będzie mogła mieć rzeczywiste życiowe znaczenie, szczególnie tu, na tych ogromnych obszarach Poleskich, wtedy tylko, według zdania mego, gdy z czasem powstanie organizacja specjalnej straży państwowej łowieckiej, po jednemu przynajmniej na każdą gminę. Policja albowiem, „w krainie komarów, cietrzewi i bandytów" jest i musi być zanadto zaabsorbowana walką i tępieniem zwyrodniałych osobników rodzaju ludzkiego, żeby módz należytą uwagą otaczać zwierzynę. Należałoby już obecnie przynajmniej, jeśli nie całą ustawę — lecz punkty terminów i kar przetłumaczywszy na języki miejscowe (broń Boże, tylko nie na tak zwany literacki rusiński, lecz rzeczywistą gwarę ludu) jak można częściej na tak zwanych gminnych ze-

braniach odczytywać i ciemnej ludności tutejszej. Tę samą akcję mogliby rozpocząć nauczyciele w szkołach gminnych. Piękną zaiste byłaby rola uświadomienia podrastających pokoleń polskich obywateli o zbrodniczem jaj wybieraniu, duszeniu piskląt i wyłapywaniu na gniazdach wysiadujących głuszyc, cieciorek i kaczek. Napotykałem, niestety, z bólem serca te ohydne ogrodzenia z patyków łoziny okalające gniazdo z zasłoną o długim sznurku. Przez gościnny otwór, świętem uczuciem macierzyństwa kierowana biedna ptaszyna prześlizguje się wewnątrz tej klatki dla wielkiego aktu kontynuacji swego rodu i... ginie śmiercią okrutną. Wstyd i oburzenie ogarnia myśliwego, kiedy to napotyka się podobną obrzydliwość i barbarzyństwo!

II.

Kaczek naogół było mało, na skutek wyschnięcia błot i udostępnienia pieskom i pastuszkom terenów dla niecnej rzezi niewiniątek. Podczas otwarcia sezonu cietrzewiego, jeziorka, rzeczki i kanały zupełnie prawie już nie miały i nie gościły kaczek. Skoncentrowały się wszystkie na pewnych sadach czyli zlotach na jeziorkach, pilnowanych jak w Dawidgródku, przez ludzi lub przez niedostępność bajecznych błotnych odległości, albo odleciały na błogosławione stawy Wołynia i tam het! dalej, ku Kijowszczyźnie Sowieckiej, zapewne też i do moich Wierzchowieńskich oczeretów. Dosyć powiedzieć, że na pięciokilometrowym odcinku rzeka Iwą płynąc od świtu łódką, widziałem jedną cyrankę, dwie krzyżówki — padł coprawda jeden kaczor, już barwny i piękny. Ślicznie? prawda? Lecz Ś-ty Hubert daruje mi inne spotkania z miłymi kaczorkami tam, na wodozbiorach Horynia w Borsukach i Przedmirce we wrześniu — później zaś w szarugach jesiennych, kiedy to zbawczynie Kapitolu, szare gęsi z dalekiej północy ciągnąć będą i łabędzie w poświacie nocy księżycowych widmowo białe swe sylwetki ukażą w srebrzystych przestworzach rozmarzonych horyzontów. Dubeltów i bekasów, których, jak powiadają, było multum końcem lipca i początkiem sierpnia — już nie zastałem. Gdzieniegdzie porywał się nędzny, pojedyńczy bekasik i to tylko z wierzchowin stawków, jeziorek, z mokrych wyżarków śród błot podeschłych. Głuszce napotykałem często i gęsto. Podobnie do aeroplanów podrywały się potężne, już wypróbowane młode i stare wypióry - śpiewaki. „Czamu panoczku nie strelaicte? taka zdorowa (wielka) zwierzyna i harna (piękna)"... Tłumaczyłem, perswadowałem, groch o ścianę! Moi zwykli towarzysze łowów, gajusi, najczęściej z lokalnych kłusowników-emerytów pochodzący — słuchali, głowami kręcili i coś nie bardzo podziwiali całą mądrość mych wykładów pedagogicznych. „A słysz Hryhor do piekura (bekasa) naboja (ładunku) nie żaljat' — a do hłuszcia ne streliajut". „Zwiestnoje diło Pawła, pany durnyje!" Trzeba było słyszeć pełną pogardy intonację słów tych przez sławetnych leśników podczas snu mego słyszanych przy ognisku na brzegach Tuchowa (gdzie taka była uwarzona bajeczna zupa z jaziów wprost z jeziora). Biła z nich cała potęga mroków duszy ciemnej, zaciekły upór natury pierwotnej.

Legi jarząbków były obfite — zdobyłem trochę!

III.

Komiczny miałem epizod nad temże Tuchowskiem jeziorem. Polanki z gryką obok chaty sławetnego Fiedora Gisa, na Ostrówku osiadłego amatora samotności i... kłusownictwa oczywiście, były tak rzetelnie zdewastowane przez dziki, że zachęciły mnie do czatów wieczorowych... Zasiadłem więc i czekam. A może wyjdzie, kto wie? pojedynek? jakiś Chaskiel fantastycznych rozmiarów? Szarzeje coraz bardziej! Napięcie oczekiwania coraz większe. Wtem... słyszę nieludzkie wrzaski. „A kudy? procz cholera!... szczob ty zdochł!... a nazad!" — to wszystko przeplatane naturalnie iście rosyjską koloraturą miłosnych kombinacyj protoplastów. To Paweł leśnik tak się awanturuje. Dlaczego? Szelma! rozpłoszy wszystko! Zwarjował? Chyba! Odstrasza mi dziki, zepsuł cały wieczór, żeby wszyscy djabli wzięli!

Wściekły opuszczam swe schronisko — stary dąb opalony kłodą na ziemi leżący. Około chatynki Gisa widzę Pawła. Rzucam się z furją ku niemu! „Oto panocku! bułaby okazja aż dwa pidswynki (wieprzyki) Gisa perły (parły) prosto na preczku do Was!, na sytu ich zaworotył... na wiernuju smert' szły... bo znaju jak wy strelajetie pane połkowniku — a Gis zarazby potrebował (wymagał) za nich jakich piat'sot złotych!". Skapowałem od od razu całą grozę sytuacji. Ładny i kosztowny by wypadł dubelcik z dwóch poczciwych świnek domowych, no i konfuzja niemała. Pantoflowe poleskie radjo obwieściłoby błyskawicznie cały rejon od Równego do Łunińca aż po Baranowicze. Obwieszeni teterukami, wracaliśmy pewnego wieczoru do ogniska, raptem: „Oto na derewi sedyt molodyj farbowyk!" Patrzę — około pnia widnieje przytulona jakaś ciemna masa. Nie wygląda na cietrzewia, podobne coś do sowy. Strzał nie nęcący. Strzelaj pan, mówię do sympatycznego towarzysza łowów, kochanego pana Kazia. Sekunda. Bac! coś długiego grudką wali się, opisując parabolę na tle niebios gasnących. Boże mój! ogon jak raketa! Kuna leśna. Pewne uczucie zazdrości owłada mną. Zawsze, choć nie w sezonową porę, strzał jednak rzadki. „Kunycia, kunycia, kunycia!" wyrywa się z trzech roznamiętnionych piersi. No! winszuję kochanemu panu Kazimierzowi zdobycia ślicznego pomarańczowego krawata. Leśnik podbiega podjąć rzadkie trofeum. „Panoczku, ce kit (kot), a ne kuna! i sze rabyj (srokaty)..." Tableau! Nigdy zazdrość nikomu nie wypada, chyba służę łaskawych Czytelników, bo prześnił i przepolował aż całe dwa tygodnie na Poleskich błotach, gdzie dusza się odradza, ramiona krzepną, i hart okrutny całe jestestwo zalewa. Św. Hubertowi cześć!

Dziękuję za już, a proszę o jeszcze! Nienasyceni ci myśliwi!..

ADAM RZEWUSKI.



Kulik krwawodziób. Fot. Paweł Kozłowski.

STOSUNKI ŁOWIECKIE W CZECHOSŁOWACJI.

W całej Czechosłowacji obowiązuje jeszcze dotąd dawne, węgierskie prawo łowieckie. Jednakże ministerstwo rolnictwa już opracowuje nową ustawę.

Wskutek zwrócenia uwagi sfer myśliwskich na szkodliwość używania psów gończych, ministerstwo zabroniło używania ich na polowaniach w lasach państwowych. Zakaz ten nie rozciąga się jednak na polowania prywatne i gminne.

Rząd zamknął też na dziesięć lat polowanie na kozice w Wysokich Tatrach. Nadleśnictwa państwowe czynią wogóle wielkie wysiłki w kierunku podniesienia zwierzostanu, pomimo iż w czeskich Tatrach i Karpatach istnieje jeszcze zwierzostan taki, że każde inne państwo zazdrościć go może Czechom. Wojna i anormalne stosunki powojenne wyrządziły oczywiście i tutaj znaczne szkody. Pozatem czeska reforma rolna, wywłaszczająca wielkie majątki ziemskie, również wyszła na złe łowiectwu czeskiemu, gdyż tylko w tych majątkach dbało się o hodowlę zwierzyny i rozwój sztuk kapitalnych.

Gdy kandydat na dzierżawcę stwierdza, że warunki dzierżawy mu nie konwenjują, to właściciel występuje z pretensją. Dowodzi, że reflektant zachowaniem się swojem i słowami pochlebnemi upewnił właściciela w przekonaniu, iż umowa będzie zawarta, a przeto właściciel odmówił innym kandydatom, przez co będzie obecnie stratny.

Właściciel taki nieraz w tym wypadku powołuje się na rzekomych świadków tej „ustnej" umowy i wytacza pretensję sądownie. Dla gwarancji zaś pewnej wygranej pozwala sobie niekiedy skonfiskować fuzję niedoszłego dzierżawcy - cudzoziemca, który przyjechał z nią jako zaproszony na dzicze polowanie.

Dla cudzoziemca są też trudności językowe przy porozumieniu się z właścicielem terenu.

Bywały też wypadki, że zawieziono dzierżawcę zimową porą do doliny, w której mu pokazano ogromne mnóstwo zwierzyny, zapewniając go, że wszędzie jej jest tak dużo. Tymczasem dolina taka bywa punktem, na który zwierzyna gromadnie schodzi z gór okolicznych w czasie wielkich śnieżyc, a naprawdę w pozostałych rewirach niema jej wtedy wcale prawie.



Kozioł ubity w czerwcu 1928 r. przez pułk. rez. Erazma Stablewskiego w Mościejewie, Wielkopolska. Fot. Konst. Chłapowski.

Obecnie jednak same sfery rządowe przemyśliwują nad utrzymaniem i rozwojem łowiectwa jako bogactwa narodowego. W tym celu nowe prawo łowieckie, które ma być ogłoszone, zawierać będzie bardzo ostre przepisy przeciw kłusownictwu i wszelkim przekroczeniom łowieckim.

Do słowackich Karpat północnych zjeżdża sporo cudzoziemców, dzierżawiących tam tereny myśliwskie. Jednakże coraz częściej rozlegają się obecnie skargi na stosunki tam panujące.

W pismach myśliwskich i codziennych, zagranicznych, spotyka się często ogłoszenia o dzierżawach polowań w tej części Karpat. Ale ceny są dość wygórowane. Częstokroć właściciel terenu, poszukujący dzierżawcy, zachęca go do przyjazdu z fuzją, ponieważ ma się tam właśnie odbyć polowanie na dziki. Dla zachęty dodają, że posłuży to zarazem za punkt orjentacyjny co do widoków na zimowe miesiące.

Zazwyczaj jednak, gdy reflektant przyjeżdża, to się okazuje, że z tego polowania na dziki nic nie będzie, albo będzie coś bardzo lichego.

Zdarzają się przytem ciekawe nadużycia.

Cudzoziemiec nie wie także, iż w tamtych stronach strasznie jest rozwielmożnione kłusownictwo; że letnią porą roboty leśne w dotkliwy sposób przeszkadzają polowaniu i wypędzają zwierzynę z rewiru; że zimową porą wilki się uganiają za zwierzyną, dziesiątkując ją prędzej, niż najlepszy myśliwy.

Wytworzyli się też w tych stronach zawodowi pośrednicy, stręczący właścicielom naiwnych dzierżawców.

Pozatem są spekulanci, którzy sami dzierżawia od gmin lub wielkiej własności, ze trzy rewiry odrazu, płacąc za nie ryczałtem 20.000 koron czeskich, a potem starają się o zagranicznych poddzierżawców, od których żądają za jeden rewir 60.000 koron (około 16.000 złotych).

Trzeba naturalnie to wszystko dobrze zbadać, żeby się dobrze zorjentować w niepomyślnych warunkach tych dzierżaw. Zewnętrznie bowiem wszystko się przedstawia bardzo nęcąco. Widoki

natury są wspaniałe, pomieszczenie w domku myśliwskim znakomite, przyjęcie wykwintne, na stole nie brak wyborowego tokaju węgierskiego, sam właściciel ma pozory skończonego dżentelmana. Oprowadza on po swych zbiorach, pokazuje rekordowe trofea karpackie z ostatnich lat dziesięciu i argumentuje:

— Dzierżawa w każdym razie nie przedstawia żadnego ryzyka.

Każdy rewir bowiem jest koniecznie „jednym z najlepszych" w Karpatach; w każdym hrabia X. lub książę Y. ubił najkapitalniejszego jelenia; najdaje odstrzał najlepszego jelenia z wydzierżawionego rewiru — osobie postronnej.

W umowie nieraz wymienia się pozwolenie na odstrzał niedźwiedzia lub rysia, mimo że ani jednego, ani drugiego nikt w rewirze nie widział od lat 10.

Dalej doznaje się rozczarowania, gdy wypada płacić ogromne sumy za podwody, a natomiast za dziczyznę upolowaną otrzymuje się śmiesznie małą cenę.

A ile potem kosztuje podkarmianie zwierzyny zimą!

Pomimo to wszystko nie można zaprzeczyć,



Kozioł ubity w r. 1927. Mościejewo, Wielkopolska. Ubił i fotografował K. Chłapowski.

mniejsza waga poroża jeleniego wynosi jakoby 12 kg.

Właściciel naturalnie nie dodaje, że tak istotnie „było", ale przed 30 laty.

A gdy się okaże, iż to wszystko jest złudne i że dzierżawca zrobił bardzo lichy interes, to żadne sądy słowackie nie pomogą. Zerwanie umowy jest kompletnie niemożliwe.

Natomiast niedotrzymywanie warunków przez właściciela terenu jest na porządku dziennym. Wbrew obietnicom, po podpisaniu umowy właściciel zrzuca z siebie wszelką obiecaną opiekę nad łowiskiem, albo za wszelką pomoc każe sobie drogo płacić nadetatowo.

Bywa też tak, że właściciel potajemnie sprzeże karpackie rewiry słowackie mają wielki urok dla myśliwego z Europy centralnej, gdzie już niema rewirów podobnie obfitujących w zwierzynę.

Żeby więc przeciwdziałać przykrym stronom tych dzierżaw lub nawet pojedyńczych odstrzałów, rzucono w Niemczech myśl utworzenia organizacji myśliwych interesujących się tego rodzaju dzierżawami w Czechosłowacji.

Zadaniem tej organizacji ma być szczegółowe zbadanie warunków, wzajemne pomaganie sobie i informowanie; przestrzeganie przed nadużyciami; pośredniczenie między właścicielami a dzierżawcami z uwzględnieniem ich poszczególnych interesów ku obopólnemu zadowoleniu.

J. O.



„Bianka z nad Warty". II-ie pole. Właściciel i treser: Marjan Siudzik. Siad przy ubitej zwierzynie — pilnuj.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

„Obrazki myśliwskie" Wł. Gürtlera.

W „Bibljotece Macierzy Polskiej" we Lwowie jako 105 tom, ukazały się „Obrazki myśliwskie" Władysława Gürtlera (wydanie II zmienione i rozszerzone). Autor wziął jako motto słowa min. Niezabytowskiego: „Kto z przyrodą obcuje, poddaje się jej urokowi, co uszlachetnia człowieka. Wpływom tym ulega bezwiednie łowiec, to też, rzec można, nie spotyka się myśliwego — mizantropa. Kocha on przyrodę, ludzkość i Stwórcę".

„Obrazki myśliwskie" zawierają wspomnienie „Z wycieczki do Białowieży", opis „Spotkania z wydrą", „Na ciągu kaczek", szkice ornitologiczne w pięknej beletrystycznej formie napisane o „Naszych błotniakach" i „Orzeł bielik", rozprawkę o „Wrogach zwierzyny i łowiectwa" i wreszcie koniec wieńczący dzieło, — dwie prześliczne opowieści historyczne: „Król Jagiełło na łowach" i „Batory w puszczy Jaktorowskiej".

Pisząc o drzewach Białowieży, poeta mówi: „Dążąc do światła i słońca, którego tylko wierzchołkiem zachwycić może, żadne drzewo nie rozrasta się u dołu, lecz strzela w górę prostym jak świeca, gładkim pniem. Gdy już ma koronę w słońcu, wtedy dopiero grubieć zaczyna..." Cudnie odmalowany czar puszczańskich drzew! Nie zgodzilibyśmy się z Sz. Autorem jedynie w tem, co pisze o smaku artystycznym dzisiejszego pałacu.

Przepiękny jest opis spotkania z wydrą na Jużynieckiem jeziorze, a strony książki jezioru temu poświęcone porwą i zachwycą każde myśliwskie serce. Mówi o niem poeta również i w opowiadaniu „Na ciągu kaczek" i w „Naszych błotniakach".

Czytelnikowi, który pochłania „Obrazki myśliwskie", pozostanie na zawsze w pamięci „ogromne jego zwierciadło, bardzo gładkie, jakby z płynnego srebra ulane, niepokojone tylko figlarnym wyskokiem karpia, lub muskane pstrem skrzydłem perkoza..."

Zachód słońca na stawie i opis ptasich głosów wieczornych stanowi najpiękniejsze stronice książki.

„Pierwsze hasło do śpiewu dał drozd trzcinowy, pogwizdując wesoło, zrazu cicho i nieśmiało, potem coraz głośniej i potężniej; za nim poszły remizy, wróble trzcinowe, kurki, łyski, pliszki, szukające noclegu w sitowiu i jaskółki, gromadzące się już tłumnie do odlotu. Potworzyły się na poczekaniu całe chóry ptasie w gęstej trzcinie, w której za dnia w skwarze słonecznym żadna zdawała się nie gościć żywa istota... Nad stanowiskiem samotnego myśliwego zamajaczyła naraz chmura szpaków. Przyleciały z szumem rozgwarzone, rozśpiewane i zapadły w trzciny, by wypocząć. Ledwie pousiadały i zdobyły równowagę, czepiając się wilgotnemi nóżkami uchylających się ciągle pod ciężarem małego ciałka listków i gałązek, a już rozpoczęły swój wieczorny koncert. I świst i pisk i zawodzenie jakieś, pełne nieokreślonych nadziei życiowych i naśladowanie innych ptaków, wszystko to zlało się w prawdziwy rozgwar rozśpiewanych na cześć Stwórcy, wdzięcznych Mu za życie, słońce i inne dary, — pieśni ptasich..."

Widać z tego fragmentu, jak Poeta odczuwa i jak odtwarza najprostsze zjawiska przyrody. Niema tu nic z papierowej literatury, niema tu nigdzie frazesu... A gdy opisywać pocznie kaczy zlot, myśliwemu, czytającemu jego wspomnienia, serce istotnie „młotem uderzać zaczyna i podsuwa się do gardła, słyszy dokładnie jego miarowe bicie, drży na całem ciele z podniecenia" i — czyta z rozkoszą.

„Błotniaki" i „Bielik" — to wzór ciekawych, pięknych monografij łowieckich. Posiadają one doniosłe, dydaktyczne znaczenie, dając w formie lekkiej dużo wiadomości naukowych pierwszorzędnej wagi, bo na doświadczeniu myśliwskiego żywota opartych. Warto na tem miejscu zauważyć nawiasowo, iż powszechnie nie docenia się olbrzymich wkładów naukowych, które do nauk przyrodniczych wnieśli myśliwi, dzięki ciągłemu obcowaniu z przyrodą i podpatrywaniu jej tajemnic.

Staw w Jużyńcach — jak widać z książki Gürtlera — był prawdziwem myśliwskiem i przyrodniczem Eldoradem. Samych kaczek była na nim wielka ilość odmian: ohary, płaskonosy, krzyżówki, rożeńce, szarki, świstuny, cyranki, cyraneczki, lodówki, gągoły, kaczki białookie, ponurki, podgorzałki i kaczki czubate.

Wzruszający jest typ starego wioślarza Danyły Zwarycza. Całe piękne serce Autora tych wspomnień promienieje w słowach poświęconych temu towarzyszowi wypraw myśliwskich.

Spostrzeżenia i uwagi p. t.: „Wrogowie zwierzyny i łowiectwa" straciły dziś częściowo aktualność, co zresztą widać we wstępie, gdzie zaznaczone jest, iż powstały one przed ukazaniem się nowej ustawy łowieckiej. Należało jednak cenny ten szkic zaktualizować i w trzeciem wydaniu, które, miejmy nadzieję, ukaże się niezadługo, trzeba koniecznie to uczynić. Nie można bowiem mówić dziś u nas o wzorowaniu się na Czechach i Austrji, gdy Czechy, Austrja i Niemcy zamierzają nowelizować swoje prawodawstwa łowieckie, wzorując się na Polsce. Nie można również pisać o słabych karach na kłusowników, gdy prawodawstwo nasze posiada najsurowsze dziś na świecie sankcje karne, które naśladowane dopiero będą przez innych. Nieaktualną na szczęście jest również uwaga o upadku zwierzostanu, który po wprowadzeniu w życie ustawy i drakońskiem ukaraniu szeregu kłusowników, powoli, ale systematycznie poczyna się podnosić, co widać z danych statystycznych. Wiele jednak zdań, rad i uwag zawartych we „Wrogach zwierzyny i łowiectwa" nie straciło nic ze swej aktualności i dlatego należałoby pracę tę tylko nieco zaktualizować przed następnem wydaniem dzieła.

„Król Jagiełło na łowach" (jeden dzień z życia wielkiego monarchy) to piękna historyczna opowieść o bohaterskiem spotkaniu króla z niedźwiedziem i o tragicznej przygodzie krzyżackiego komtura. „Batory w puszczy Jaktorowskiej" — to dzieje polowania królewskiego na żubry w borach, które przed zagładą chroniły ostatek turów i żubrów na Mazowszu. Śliczne te opowiadania czyta się jednym tchem: piękny język, zdolność obrazowania łączy się w nich z mnóstwem ciekawych historycznych danych, odnoszących się do łowów w dawnych wiekach.

Władysław Gürtler dał nam zatem w swej ostatniej książce i wspomnienia łowieckie, przepojone wonią Jużynieckiego jeziora i monografje myśliwskie jednoczące „utile dulci" i rozprawę o zwalczaniu wrogów łowiectwa i opowieści historyczno-myśliwskie przenoszące nas w czasy dawne, czasy sławne, gdy niedźwiedzie żyły jeszcze w puszczy Niepołomickiej, a żubry w borach Mazowsza...

Śliczna książka Gürtlera znaleźć się winna w każdej bibljotece myśliwskiej, a bibljoteka myśliwska — w każdem szanującem się i prawdziwie prawidłowem Towarzystwie Łowieckiem.

JULJAN EJSMOND.

MOJE POLOWANIE NA DROPIE.

Działo się to w roku Pańskim 1893-cim.

Byłem młodym lekarzem weterynaryjnym, pełnym energji, zapału do pracy i marzeń, że na rodzinnej ziemi mazurskiej stanę się prawdziwie użytecznym obywatelem kraju.

Los zrządził inaczej i w owym właśnie roku najniespodziewaniej znalazłem się w Ziemi Wojska Dońskiego, jako delegowany przez ówczesne władze naczelne do stanicy Mitiakińskiej dla walki z księgosuszem, który grasował w tych czasach wśród bydła rogatego i owiec na całym prawie obszarze ówczesnej Rosji Południowej.

Stanica Mitiakińska szeroko rozłożona nad rzeką Dońcem, była już w owych czasach dość znacznem miasteczkiem, posiadającem kilkanaście tysięcy mieszkańców, wśród których jedno z naczelnych miejsc zajmował „zasiedatiel" Żużniew. Był to naczelny komendant miejscowej policji, z którym musiałem stale obcować ze względu na obowiązki służbowe.

Księgosusz jest tak poważną i tak rujnującą gospodarstwo krajowe chorobą zaraźliwą bydła, że dla walki z nią istnieją wszędzie specjalne przepisy, nakazujące mobilizację policji do pomocy lekarzom weterynaryjnym.

Do mnie w stanicy Mitiakińskiej został przydzielony zasiedatiel Ż., który był nieodłącznym towarzyszem moich prac i zarządzeń.

Nic więc dziwnego, że, obcując ciągle razem, poznaliśmy się bliżej, a nawet — zaprzyjaźniliśmy się.

Oficer rezerwy, młody jeszcze człowiek, chociaż znacznie starszy odemnie, odbywał przez kilka lat służbę oficerską w 10-ym pułku kozaków Dońskich w Zamościu. Często odwiedzał Warszawę, aby bywać w teatrach, bo zakochany był w Czakównie i uwielbiał Dowiakowską i Myszugę. Wysoki, zgrabny i przystojny mężczyzna, miał podobno wielkie powodzenie u kobiet, gdyż nie grał w karty, lecz bardzo dobrze tańczył, szczególnie mazura, i śpiewał pięknym głębokim barytonem, akompanjując sobie na gitarze. Umiał całą Halkę i Straszny Dwór na pamięć, oraz mnóstwo piosenek polskich kompozytorów. Rozmawiał zupełnie poprawnie ze mną po polsku, kiedy byliśmy sami, i dumny był z tego bardzo. Chełpił się niezmiernie, że to polki nauczyły go mówić i pisać po polsku, ponieważ ukochał w życiu to, co jest najpiękniejsze i najprzyjemniejsze — wino, kobietę i śpiew. Piękniejszych zaś od polek niema kobiet na całym świecie. Nie ożenił się dotychczas dlatego, że panny, do których się garnął w Polsce, nie chciały wyjść za niego zamąż, tutaj zaś, w ziemi rodzinnej, spotyka na swej drodze tylko same koczkodany.

Namiętnie za to lubił myślistwo, twierdząc, że strzelba jest jego najwierniejszą kochanką.

Był wybitnym strzelcem, co niejednokrotnie sam osobiście stwierdziłem i zawsze podziwiałem, kiedy naprzykład, jadąc szybko stepową drogą w powozie, chwytał błyskawicznie obok leżącą strzelbę i zabijał w locie jastrzębia, lub w biegu — zająca.

Ja nie mogłem się wówczas zaliczać do żadnych myśliwych, ani złych, ani dobrych, bo nigdy nie pałałem zbytnią namiętnością do polowania i nawet nie miałem własnej strzelby.

Pan Ż. jednak potrafił przekonać mnie, że polowanie jest zdrowym i szlachetnym sportem dającym niezmierną ilość wrażeń i podniet nerwowych, uzdrawiających wszelkie nudy, apatje, melancholje i t. p., więc kupiłem strzelbę i zacząłem się uczyć polowania pod jego kierunkiem.

Po paru miesiącach nauki strzelania do martwych, żywych, ruchomych i nieruchomych celów, zacząłem polować wspólnie z panem Ż. na kaczki, przepiórki, kuropatwy i zające.

Więcej wprawdzie z tych polowań wyniosłem pudeł niż zwierzyny, ale, zasmakowawszy w samym procesie strzelania, stałem się podobny do Ż., bo zacząłem ciągać z sobą strzelbę i torbę z nabojami.

Był piękny, jasny i ciepły poranek sierpniowy. Słońce tylko co wynurzyło się z za horyzontu, kiedy mijaliśmy ostatnie chaty stanicy, jadąc szybko pocztowymi końmi w kierunku wsi Czebotówki, odległej o 20 kilometrów, gdzie oczekiwała nas praca urzędowa. Wiózł nas tym razem nasz dobry znajomy, stary furman Szymon, bardzo rozmowny i wesoły dziad, znający doskonale wszystkie drogi, dróżki, nawet ścieżki na stepach.

Myśmy skorzystali z owej znajomości stepów przez Szymona w ten sposób, że za jego wskazówkami postawiliśmy na właściwych miejscach patrole kozackie, które obowiązane były pilnować, żeby ani zwierzęta domowe, ani produkty zwierzęce nie mogły się przedostawać z miejscowości zagrożonych księgosuszem do miejscowości wolnych od zarazy.

Kozacy na posterunkach dobrze wiedzieli o żyłce myśliwskiej swego komendanta i, chcąc mu się przypodobać, zasłużyć na pochwałę, lub — nagrodę, donosili skwapliwie o wszystkiem, co się działo w stepach, informując nas dokładnie o ruchach zwierzyny.

— Dzisiaj panowie będziecie mieli dobre polowanie, bo step faluje jak morze, — mówi Szymon, kiedyśmy wyjechali na pagórek, z którego zaczęliśmy się zachwycać cudnym widokiem stepu, rozścielającego się przed nami daleko, jak okiem sięgnąć.

— Co to ma znaczyć? — pytam, bo nie rozumiałem jego słów.

— A! to pan nie wie jeszcze, — odpowiada stary, — że kiedy w jasny, cichy dzień „kowyl" na stepie faluje, to wtenczas zwierzyna wszelka czuje się najbezpieczniej i wychodzi ze swych legowisk i gniazd na żer.

O ile mogłem sięgnąć pamięcią, nie przypominałem sobie, czym widział kiedykolwiek step w stanie uroczystej ciszy, ale domyśliłem się odrazu, że w ciszy przed burzą step jakby zamiera, a wówczas wszystko, co żyje na stepie, ucieka i chowa się.

Patrzę więc na step zachwyconym wzrokiem i zdaje mi się, że widzę przed sobą olbrzymie morze falującego żywego srebra: to trawa stepowa — kowyl — wysoka, jak łan pszenicy, oświetlona ukośnymi promieniami słońca, nabiera barwy srebrzystej w swych okiściach miotełkowatych.

Na niebie — ani jednej chmurki.

Łagodny zefirek południowy pieści nas mile swym podmuchem. Jedziemy dalej, nucąc jakąś piosenkę, weseli, zadowoleni.

Nagle zaczyna dochodzić naszych uszu tętent galopującego konia.

Oglądamy się i spostrzegamy pędzącego ku nam, co koń wyskoczy, kozaka.

Za chwilę zrównał się z nami i odraportował:

— „Wasze błagorodje, drochwa na stiepi w kowylach" — co raportując po polsku, znaczy:

Panie komendancie, dropie na stepie w trawach — kowyl!

Jakby piorunem rażeni, zrywamy się ze swych siedzeń i rzucamy się do kozaka z pytaniami — gdzie? jak daleko? czy dużo?!

— „Za bałkoj wiazowoj, piat' sztuk". (Za wiązowym wąwozem, pięć sztuk) — informuje kozak.

— Wiem, gdzie to jest, — mówi Szymon, — i teraz proszę mnie słuchać. Ja poprowadzę, bo panowie młodzi nie macie pojęcia, jak się podchodzi do dropia.

To mówiąc, podniósł do połowy budę powozu i prosił, byśmy się schowali w niej tak, żeby nas z boków nie było widać.

Jedziemy we wskazanym kierunku, a Szymon nas poucza: dropie są niezmiernie czujne i ostrożne. Na odległość strzału nigdy nie dadzą się ani podejść, ani podjechać, jeżeli się jedzie wprost na nie.

— Trzeba jechać bokiem, udając, że się ich nie widzi, i, nie zatrzymując się ani chwili, objeżdżać półkolem, zbliżając się stopniowo. W ten sposób udawało mi się podjechać do dropi na strzał.

— Proszę się nie wynurzać z zakrycia, dopóki nie dam znaku.

Kozak znikł, jakby w ziemię zapadł, a my, przedzierając sie przez burzany i „kowyl", zbliżaliśmy się do wskazanego miejsca, trzymając strzelby na pogotowiu.

— Baczność! na prawo, — szepce Szymon, — głowy już widzę, ale jeszcze daleko.

Siedząc po lewej stronie w powozie, zdejmuję czapkę i ostrożnie pochylam głowę, aby coś dojrzeć.

Na tle srebrzystych traw spostrzegam głowę ciemnoszarą, jakby łabędzia, poruszaną niespokojnie na wszystkie strony.

Szymon jedzie wciąż bokiem, ale czujemy, że zatacza półkole.

Pan Ż. kręci się na swem siedzeniu, jak w ukropie, chce koniecznie wyjrzeć z pod budy, ale ja go powstrzymuję.

Spostrzegam jeszcze dwie ptasie głowy, podobne do pierwszej, podniesione do góry i, widocznie, już zaniepokojone, gdyż Szymon coraz bliżej się przysuwał.

Teraz już nie wytrzymał pan Ż. i wynurzył się z pod budy w całej okazałości w białym kitlu i białej czapce na głowie.

Dla czujnych ptaków było to wystarczającem ostrzeżeniem, aby się zerwać i odlecieć w kierunku pionowym od nas.

Wyskoczyliśmy z powozu, zaczęliśmy strzelać, ale napróżno.

Pięć dużych szarych ptaków z białawym odcieniem pod skrzydłami, o długich szyjach, majestatycznie płynące na tle błękitu nieba, wydały mi się bardzo podobne w locie do flamingów, które widziałem w stepach Akmolińskich, z tą tylko różnicą, że te były szare, a tamte — różowe.

Ptaki już dawno znikły, a ja wciąż stałem zapatrzony w dal.

Nagle wzdrygnąłem się, bo Szymon basowym tonem wrzasnął nad uchem:

— K'czortu wsio! (Wszystko do djabła), mówiłem, czekać, aż dam znak, teraz niema co patrzeć napróżno, ruszajmy do Czebotówki.

Spojrzałem na pana Ż., był blady, jak jego kitel, stał bezradny, trzęsąc się ze wzruszenia, a tak zawstydzony, że wydał mi się śmiesznym w swojem przygnębieniu. Parsknąłem śmiechem i zawołałem wesoło:

— A teraz, mazurowym krokiem do powozu i — jazda, co prędzej, bośmy się już spóźnili.

Anin, w sierpniu 1928 r.

ST. SZCZUKA.



Czarne i białe. Fot. H. Knothe.

FIGIEL PANA WACŁAWA.

Humoreska.

Pan Zenon, właściciel posesji przy ulicy Szczygłej, miał zwyczaj przychodzić na czarną kawę do Bliklego.

Chociaż go znajomi wyciągali do Lours'a, do Forkasiewicza, do Kleszcza, on, poszedł tam z nimi, co prawda, ale posiedział, pogadał i — wraca do Bliklego.

— Bo to, proszę państwa, przywykłem... Gospodarstwo przyjemni, subjekt rozmowny, a panna Wanda, w kasie, przyjemnie spojrzeć! A przytem, nasz stolik! Jak sympatyczny! Oł, choćby nasz filatelista, człowiek uprzejmy, inteligentny, w jego towarzystwie nigdy się źle nie czuję.. A jego przyjaciel, księgarz: młode to jeszcze, a jak roztropne i satysfakcja pogadać z tak przyjemnym człowiekiem! A dziedzic! Ten, co prawda, niewielomówny, ale zato jak się odezwie, wprost — zapisuj!

— Więc poco szukać innych cukierni, skoro nigdzie takiej kompanji nie znajdę jak w tej?

Tak wywodził pan Zenon i co wieczór zjawiał się u Bliklego, z rozpromienionem obliczem witając grono przyjaciół.

Aliści raz stało się tak, że nikt ze znajomych nie zjawił się o zwykłej godzinie i pan Zenon siedział przy stoliku sam. A no, trudno! Pogoda, ciepło, pewnie sobie gdzieś tam, na trawkę... Wreszcie, może później nadejdą... Rozgląda się po cukierni, tłumno, tłoczno, wszystkie miejsca zajete,

Anin, w sierpniu 1928 r.

bo to, panie, odkąd Adamus zaczął grać, frekwencja się ogromnie powiększyła...

Wtem zbliża się do niego jakiś pan i pyta:

— Pan pozwoli się przysiąść? Nigdzie nie mogę miejsca znaleźć...

Pan Zenon spojrzał: stoi przed nim pan okazały, piękna twarz, wąs obfity, ubiór staranny, więc:

Bo jakże?

Przed nim siedzi srogi myśliwy, mający na sumieniu dziesiątki dzików, sarn, jeleni, łosiów bodaj, nie licząc zajęcy, kaczek i innych ofiar pierzastych, a on, Zenon, oprócz „pugacza", nigdy strzelby w ręku nie miał...

Co to będzie? Co tu robić?

Cofnąć się niepodobna, przedstawił się, adres dał, więc jakże? Przytem, jak się okazało z rozmowy, mieli wspólnych znajomych, śród których pan Zenon miał opinję człowieka solidnego, co to jak powie, to mur!

Wreszcie myśliwy wstał, pożegnał się, przypomniał raz jeszcze o terminie i dostojnie się odda-



PO KONKURSIE WYŻŁÓW DOWODNYCH W IWNIE.

U góry — sędziowie konkursowi. U dołu — siedzą właściciele nagrodzonych psów: leśn. państw. Stefan Gramowski z Unkasem (I nagroda), Ignacy Jasiński z Herta (III nagroda), leśn. Bronisław Gramowski z Mumem (list pochwalny) i Marj. Siudzik z Bianką (list poch walmy). Nagrodzony I nagrodą Rej, aportujący drapieżnika, pomieszczony został w poprzednim numerze. Fot. St. Markiewicz. Poznań.

— Proszę! Pan będzie łaskaw!

Pan usiadł, kazał sobie podać czegoś tam i rozpoczęła się pogawędka.

Ni z tego ni z owego, strzeliło panu Zenonowi do głowy, aby rozpocząć dyskusję o myślistwie, którem nota bene, nigdy się nie zatrudniał..

Starszy pan zainteresował się:

— A więc pan poluje? To doskonale, bo ja jestem myśliwy, i odwdzięczając się za pańską gościnność, zapraszam pana na polowanie, które w tych dniach urządzam... Jestem Aleksander J. — dodał, — a oto mój bilet...

Pan Zenon też się przedstawił, również bilet wręczył i — zaczęła się rozmowa myśliwska, w której, na szczęście, trzymał prym pan Aleksander, zaś pan Zenon słuchał i martwił się...

lił, a pan Zenon siedział w trosce pogrążony: głowa w dół, ręce też...

— O czem tak dumasz? — Zbudził go z zadumy głos wesoły, a donośny...

— No, co ci jest? gadajże, gadaj!

Pan Zenon spojrzał niechętne:

— A... to ty Wacławie... — i znów głowę opuścił...

Pan Wacław zaniepokoił się:

— Zenonie! Czyś ty chory?

— Nie... gorzej...

— Jakto, gorzej?

— A tak...

— Słuchaj, niecierpliwisz mnie... Jeżeli nie dasz mi jasnej odpowiedzi, co ci jest, to sobie pójdę precz!

Pan Zenon mruknął ponuro:
— Zaproszono mnie na polowanie...
Pan Wacław wybuchnął śmiechem:
— Tylko to? Żartujesz? Ha! ha! ha!
Pan Zenon spojrzał na niego z wyrzutem:
— Wacławie, nie śmiej się, bo mi robisz przykrość!
— Dobrze, nie będę się śmiał, ale ty mi powiedz...
— Powiem, — przerwał pan Zenon, — powiem w paru słowach: przyszedłem tutaj, was nie było, przysiadł się jakiś godny pan, pogawędka... i — zaprosił mnie na polowanie!
— A ty przyjąłeś?
— No tak!
— Trzeba było powiedzieć, że nie polujesz!
— Ba, kiedy licho nadało, nie wiem, skąd mi się wzięło naopowiadać mu, żem jest zawołany myśliwy...
— Ty? Ale przecież....
— Właśnie... nigdy strzelby w ręku nie miałem... Nie wiem co robić... Broni nie mam, trzeba kupić... Ale jak, ale co? Klęska!
Pan Wacław zapalił papierosa:
— Uspokój się, — zawołał, — ja cię wyekwipuję. Spotkaj się ze mną tutaj jutro rano, a wszystko będzie dobrze!
— O, jak ci jestem wdzięczny, mój drogi!
— Niema za co! Przychodź tylko jutro, a teraz, dowidzenia!

— — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień, pan Zenon stawił się punktualnie w cukierni. Wkrótce nadszedł pan Wacław i poszli na Trębacką.
Ale przedtem odbyła się lekcja:
— Uważasz, każesz sobie dać sztucer Heima kal. 300...
— A na co ten sztucer?
— Na słonki...
— Aha, to takie ptaszki, zdaje się?
— Właśnie.
— Poczekaj, zapiszę... Tak... Już...
Pan Wacław ciągnął dalej:
— Zapiszże sobie: na kuropatwy loftki wiązane...
— Jakie, powiadasz?
— Wią - za - ne... Już oni tam będą wiedzieli...
— Aha... Dobrze... Zapisałem... Co dalej?
— Potem kupisz wiatrówkę...
— Wiatrówkę? A to niby?...
— Niby, niby! Nic niby, a na zające...
— To zające morduje się z wiatrówki?
— Tak, bo wieją... Zapisz!
— Już...
— Teraz, tak... Ten pan Aleksander, to wielki myśliwy... Ja go znam... U niego na ścianach pełno łbów jeleni, sarn i dzików... Pewnie zapolujecie na odyńca... Więc zanotuj: Francotte 6III/III...
— Francotte, powiadasz?
— Tak, tak! Zapisuj!
— Już jest...
Pan Wacław łyknął kawy i zawołał:
— Czekajno! Tam pewnie będą polowali i na sarny?
Pan Zenon rozłożył ręce:
— Bo ja wiem, mój drogi?
Pan Wacław zmarszczył czoło:
— Na pewno będą! Ho, ho! Pan Aleksander to dzielny myśliwy! U niego sarna to dopiero zwierzyna! Więc uważaj: na sarny trzeba kupić — dunstu!
— Czego?
— Dunstu!
— Co to takiego?
— Nie pytaj, tylko pisz!
— Gotowe!
— No, to dobrze! Teraz... co tu jeszcze? trzeba pomyśleć o kostjumie... Bo na polowaniu, kostjum.... o ho! rzecz bardzo ważna! Zgodzisz się chyba ze mną?
— Skoro tak mówisz... Bo przecież widzę, że znasz się na wszystkiem doskonale!
Pan Wacław uśmiechnął się:
— Ba! Polowało się nieraz! Na głuszce naprzykład... Aha! widzisz! Pewnikiem będziecie polowali na tych śpiewaków... Zapisz: kule Żakana!
— Na co?
— Na co?
— Na głuszce! Niedorajdo!
— Mój drogi, zauważył pan Zenon, wszystko to dobrze, ale licz się ze słowami.
— Ja mogę obliczyć się nietylko ze słowami, ale i z moim czasem, który tracę dla ciebie i pójść sobie stąd!
Pan Zenon zadrżał:
— Bój się Boga! Co jabym bez ciebie robił! Gadaj sobie co chcesz, tylko nie odchodź! Nie opuszczaj mnie!
Pan Wacław udobruchał się, widząc pokorę pana Zenona, i rzekł:
— No dobrze, dobrze, zostanę! Bo to widzisz, my, myśliwi, to nie obwijamy słów w bawełnę... prosto z mostu i już!
— Widzę to... widzę... a właściwie słyszę... Więc kazałeś zapisać?
— Na głuszce — kule Żakana! A teraz ubiór! Koszula wełniana, sweter, kożuszek na barankach
— Bój się Boga! Teraz tak ciepło!
Pan Wacław żachnął się:
— Poluje się w nocy... A noce są zimne! Teraz, u Marka kupisz buty długie, pęcherzem wyłożone... Potem, u Rokickiego dwie pary śniegowców i kalosze!
Pan Zenon chciał się odezwać, ale spiorunowany wzrokiem nemroda Wacława, ugryzł się w język i gryzmolił co kazano, zaś pan Wacław prawił:
— Teraz czapka... Najlepiej taka litewska z uszami... Tak... Oprócz tego kapelusz tyrolski ze szczoteczką...
— Szczoteczką? Ośmielił się zapytać pan Zenon...
— Tak, ze szczoteczką... i kij okuty, długi...
— Pocóż to? — szepnął pan Zenon.
— A jak upadniesz w przerębel, to jak się będziesz ratował?
— Przerębel we wrześniu?
— Nie rozumuj, proszę cię, zimą też będziesz polował, przyda się!
— Zapewne.. o ile będę...
— Będziesz, mój drogi! Jak się wciągniesz w łowiectwo, to będziesz, tak jak ja, kropił z Chevroleta, aż miło!
— To zdaje się fabryka samochodów? — wtrącił nieśmiało steroryzowany do cna pan Zenon.
— Wyrabia flinty też! — poinformował ostro pan Wacław...

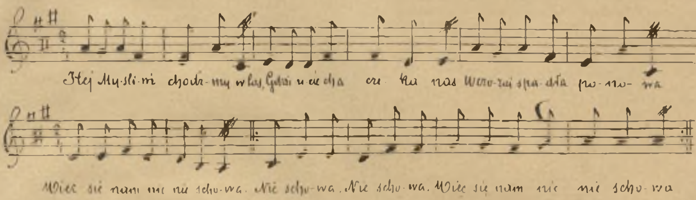
— — — — — — — — — — — — —

Odpowiednio do przepisów ubrany i uzbrojony pan Zenon stawił się na polowanie...

MIR.

RADY MYŚLIWSKIE.

Śpiew



Kiedy wejdziesz do lasu,
Nie rób bracie hałasu
I z myśliwskiej zasady,
Nie rozmawiaj z sąsiady.
    Miej już taką naturę,
    Nosić lufy wciąż w górę,
    Patrzaj zawsze przed siebie
    I nie gap się po niebie.
Gdyś zajął stanowisko,
W niem rozejrzyj się blisko,
Nie schodź do końca miotu,
By nie było kłopotu;
    Patrz jak strzelby stawione,
    W jedną i drugą stronę,
    Strzelać ci nie wypada,
    W okolice sąsiada.
Gdy na dzika polówka,
Niechaj twoja dwulufka,
Nie zna co śrut, lofteczki,
Pakuj tylko kuleczki.
    Gdy lis na cię wytyka,
    Dobrze strzelaj szkódnika
    A gdy kręci się kita,
    Pal raz drugi i kwita!
Gdy kot sadzi ci z boku,
Celuj przed nim pół kroku,
A jak od ciebie bieży,
W słuchy mierzyć należy!
    Jeśli na sztych kot wali,
    To pod skoki się pali,
    Jak śnieg duży, — zamiecie,
    Bierz go zawsze po grzbiecie!
Gdy naganka dochodzi,
Strzelać się w miot nie godzi,
By śrucina gdzie jaka
Nie drasnęła chłopaka!
    Kiedy miot już skończony,
    Wyjmuj zaraz patrony,
    Kto tego nie ma w głowie
    Ten fuszerem się zowie!

Antoniny na Wołyniu.
w grudniu 1902 roku.

ARTUR ŚLIWIŃSKI.



Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszeni zostali na delegatów powiatowych pp.:

Juljan Leszczyński, p. Opatów, maj. Gołoszyce, na pow. Opatowski;

Stefan Prus Kobyliński, p. Opatów, maj. Lisów, na pow. Opatowski;

Henryk Podkomorski, Starogard, Dworcowa 2; Jan Żarnowski por., Starogard, Skarszewska 21, obydwaj na pow. Starogardzki;

Stanisław Załęski, p. Jakubowice, maj. Przewody;

Józef Targowski; p. Zawichost, maj. Buczek;

Bronisław Bronikowski, p. Klimontów, maj. Jachymowice;

Karol Załęski, p. Jakubowice, maj. Bugaj;

Szambelan Szymon Karski, p. Opatów, m. Włostów;

Władysław Leszczyński, p. Opatów, m. Gołębiów — wszyscy na pow. Sandomierski.

Lista ogłoszona 1 raz.

ZIELONA TRZYDNIÓWKA WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W sobotę dnia 8 września r. b. prezes ppłk. rez. Konstanty Chłapowski zagaił zieloną trzydniówkę Wielkopolskiego Związku Myśliwych na sali Wielkopolskiej Izby Rolniczej, rozpoczynającą się dorocznem zebraniem walnem, witając przybyłego w zastępstwie p. wojewody p. radcę Radońskiego, p. generała Raszewskiego, p. radcę Przybylskiego, prezesa Związku Zawodowych Leśników, oraz

obecnych braci z pod znaku św. Huberta, poczem przedłożył program zielonej trzydniówki.

Przed rozpoczęciem obrad zebranie uczciło przez powstanie, zmarłych członków Związku: ś. p. hr. Krzysztofa Mielżyńskiego, członka zarządu Juljana Kiedrowskiego, Macieja Koczorowskiego, Feliksa Wizego oraz Romana hr. Sokolnickiego; a następnie prezes złożył sprawozdanie z działalności zarządu za rok ub., wyrażając zadowolenie z powodu rozkwitu Związku pod względem ilościowym członków, oraz wzmagającego się zainteresowania władz dążeniami Związku. W dalszym ciągu podkreślił urządzony ostatnio przez Związek premjowy Konkurs Wyżłów Dowodnych w Iwnie, który dał dowód, że również na tem polu zaczyna się dzięki usilnej agitacji ze strony Związku budzić coraz to większe zainteresowanie. Zarazem nadmienił, że podjęta przez Związek akcja sprowadzania żywych zajęcy z zagranicy dla odświeżenia krwi, dała bardzo pożądany skutek, ponieważ sprowadzonych zostało na Wielkopolskę przeszło 3.000 żywych zajęcy. Pod koniec swego sprawozdania prezes podał walnemu zebraniu do wiadomości, że pertraktacje z dyrekcją Powszechnej Wystawy Krajowej w sprawie urządzenia przy tejże w roku 1929-ym Powszechnej Polskiej Wystawy Łowieckiej zostały ukończone i że odbycie jej ostatecznie zostało już zadecydowane.

Po złożeniu referatu kasowego i komisji rewizyjnej walne zebranie udzieliło ustępującemu zarządowi jednogłośnie absolutorjum. Propozycję generała Raszewskiego dotyczącą wyboru zarządu, przyjęło zebranie oklaskami, powołując ustępujący zarząd do dalszej pracy na trzy lata. Do zarządu weszli jako prezes ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, I wiceprezes p. Franciszek Unrug, II wiceprezes p. nadleśn. Tadeusz Metzig, sekretarz por. rez. Władysław Kostro, skarbnik p. Henryk Górski, Ignacy hr. Mielżyński, ordynat Jan Taczanowski, Kazimierz Gozimirski i Jan Pętkowski.

Prócz tego weszli do zarządu jako nowi członkowie, przedstawiciele leśników państwowych i prywatnych: p. nadleśn. Stanisław Woszczyński i p. nadleśn. Tadeusz Mejer, a do komisji rewizyjnej rektor uniwersytetu, p. prof. dr. Niezabitowski, nadleśn. Nowak i nadleśn. Zaleski.

W dyskusji na temat mającej się odbyć wystawy łowieckiej, bez sprzeciwu przyjęto rezolucję p. Górskiego, dotyczącą odniesienia się z apelem do członków o materjalną pomoc na urządzenie tejże wystawy, na którą imieniem p. Aleksandra Janasza z Dańkowa (hodowla nasion) p. dyrektor Dybowicz zdeklarował 1500 zł., poczem nastąpił uroczysty moment wręczenia bohaterom-leśnikom nagród za odwagę i spełnienie obowiązku. I tak nagrodzeni zostali za schwytanie kłusowników: medalem, dyplomem oraz kordelasem honorowym leśn. Szczepaniak z fundacji Laski i leśn. Kurkiewicz z nadleśnictwa Kąkolewo. Medal i dyplom otrzymali leśn. Pollok z nadleśnictwa Siedlec, leśn. Józef Chraplewski z maj. Kożuszkowo, podleśn. Muszyński i Borowczyk z dóbr Konarzewskich oraz leśn. Posselm i Koloch z maj. Goraj.

Piękny i bardzo wartościowy pod względem naukowym wykład na temat „Racjonalnej hodowli zwierzyny" wygłosił następnie p. nadleśn. Tadeusz Metzig z Gołąbek. Prelegent poruszył w wykładzie swoim, opartym na doświadczeniach swej długoletniej praktyki myśliwskiej, sposoby racjonalnej hodowli wszystkich gatunków zwierzyny łownej, znajdującej się w Wielkopolsce. Nadzwyczaj interesujący wykład ten przyjęty został burzą oklasków, a treść jego, nasycona cennemi wskazówkami starego praktyka-myśliwego, posłużyć może każdemu myśliwemu jako vade-mecum. Niebawem ukaże się praca p. nadleśn. Metziga w drukowanej broszurze, którą polecać można wszystkim początkującym myśliwym jako katechizm myśliwski.

W wolnych głosach dyskutowano na temat zmiany terminów ochronnych dla zwierzyny łownej: walne zebranie postanowiło zwrócić się przez zarząd Związku do Ministerstwa Rolnictwa o przedłużenie terminu ochrony: 1) dla zajęcy od 1 stycznia do 1 listopada, 2) dla bażantów do 15 września, 3) dla kozłów od 1 listopada i 4) danieli do 1 października.

W dalszym ciągu podniesiono sprawę odbytego konkursu wyżłów dowodnych oraz wychodzącego w Warszawie organu Związku „Łowiec Polski". W ważnej tej sprawie walne zebranie poleciło zarządowi zwrócić się do Centralnego Zarządu, a również do władz o subwencję na poparcie głównego organu łowieckiego całej Polski.

W dalszym ciągu upoważniono zarząd do uregulowania sprawy przyjmowania małych kółek myśliwskich jako jednostek do Związku, poczem prezes zamknął zebranie, dziękując obecnym za przybycie i okazane zainteresowanie.

W drugim dniu zielonej trzydniówki odbył się na uroczo położonej strzelnicy Bractwa Strzeleckiego w Szelągu premjowy konkurs strzelecki dla leśników państwowych i prywatnych. W zawodach tych zdobyli: 4 nagrody leśn. Bruno Gramowski, 2 nagrody leśn. Grzechowiak i leśn. Sawarzyński, po jednej nagrodzie leśn. Ostojski, leśn. Alfons Gramowski, leśn. Szablewski i leśn. Derwich.

W trzecim dniu przystąpiono od rana do ogólnego strzelania Związku. Ogółem brało udział w zawodach strzeleckich 28 członków Związku, z których w strzelaniu do rogacza stojącego i biegnącego, jelenia biegnącego i dzika, w strzelaniu o nagrodę Kniei Wielkopolskiej i do rzutek zdobyli nagrody: Jan hr. Drohojewski (Małopolska wschodnia) 4 nagrody, Józef Wichliński 3 nagrody, nadleśn. Tadeusz Metzig, Józef Ciążyński i Władysław Kostro po 2 nagrody oraz nadleśn. Wincenty Zaleski, Alfred hr. Mycielski, Wilhelm hr. Hochberg, Tadeusz Jaruszewski, Włodzimierz Blak i Eugenjusz Minke po jednej nagrodzie.

Zaznaczyć należy, że ufundowany przez pierwszego prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych, ppłk. rez. Konstantego Chłapowskiego puhar wędrowny, jako nagrodę w strzelaniu do rzutek, zdobył po raz pierwszy p. Józef Wichliński. Puhar ten stanie się jego własnością, o ile w przyszłym roku znowu zdobędzie I nagrodę w strzelaniu do rzutek.

Do komisji sędziowskiej należeli: Zygmunt hr. Kurnatowski jako przewodniczący, generał Raszewski, generał Unrug, Ignacy hr. Mielżyński, Dobiesław hr. Kwilecki, p. Władysław Pętkowski, p. Jan Kalkstein, p. nadleśn. Zaleski, p. Henryk Górski oraz prezes Związku.

Do uświetnienia konkursu przyczyniło się pięknemi premjami dużo ofiarodawców, których życzliwość dla Związku oraz zrozumienie dla tego, tak pożytecznego i niepozbawionego państwowego znaczenia, sportu, należy podkreślić: generał dyw. K. Sosnkowski, Z. hr. Kurnatowski, I. hr. Mielżyński, generał A. Unrug, J. hr. Drohojowski, dr. St. Dąbrowski, Z. Chłapowski, T. Jaruszewski, H. Górski, J. Pętkowski, K. Chmielewski, W. Blak, E. Minke, Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, Resursa, Fundacja Rodzinna im. A. Żółtowskiego, Związek Zawodowych Leśników, Warszawska Spółka Myśliwska, Bank Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego, Bank Kwilecki Potocki, Poznański Bank Ziemian oraz fabryka amunicji „Pocisk", która jako nagrodę dla najlepszych strzelców w rzutkach, którzy strzelają nabojami Pocisk, ofiarowała 1000 naboi.

Po skończonych zawodach wręczone zostały uroczyście zdobywcom przez p. hr. Mielżyńską nagrody.

Piękną tę zieloną trzydniówkę Wielkopolskiego Związku Myśliwych zakończono przy wspólnej kolacji w Bazarze, gdzie po toaście na cześć ministra rolnictwa w towarzystwie pań i miłym nastroju, zabrzmiała również nuta myśliwska.

UCZESTNIK.

PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW.

Warszawskie Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich urządziło w sobotę dn. 15 b. m. jesienne próby polowe wyżłów na polach pod Wilanowem i na Wolicy za Natolinem, uprzejmie udzielonych na ten cel przez właściciela dóbr wilanowskich, p. Adama hr. Branickiego.

Sędziowie i biorący udział w konkursach wyjechali z samego rana do Wilanowa, a mimo to próby trwały do zmierzchu, ponieważ liczba psów zapisanych była wyjątkowo duża, dochodząca do 21.

Z zaproszonych sędziów nie przyjechał p. A. Stolarow. Wobec tego skład sędziów stanowili pp. M. Bielawski, W. Horodecki i przybyły z Lublina A. Obniski. Sekretarzował p. Cybulski, gospodarzem był p. Stanisław Czerski.

Przyjechało mnóstwo hodowców z prowicji, nawet ze stron bardzo dalekich.

W klasie młodzieży zapisane były trzy psy, a każdy z nich otrzymał wyróżnienie.

Naogół materjał polski okazał się poprostu świetnym, o czem świadczą liczne odznaczenia i wyróżnienia.

Dyplom I stopnia i nagrodę 300 zł. Centralnego Zw. polskich stowarzyszeń łowieckich otrzymał „Rek" p. E. Stelińskiego. Dyplomy I stopnia: „Boy" p. Stan. Czerskiego, „Black" p. Józefa Antoszewskiego, „Nigra" p. A. Brudnickiego i „Pandur" p. Konrada Antoszewskiego. Dyplomy II stopnia: „Rek" p. Stan. Żaboklickiego i „Ram" p. Stan. Czerskiego. Dyplomy III stopnia: „Ikar" (niemiecki, ostrowłosy), p. T. Abramowicza, „Astra" p. Konrada Antoszewskiego, „Mars" płk. Mieszkowskiego i „Karo", tresera, p. Lauera z pod Krakowa.

W „klasie młodzieży" dyplom I stopnia i nagrodę 200 zł. prezesa Tow., p. Oskara Saengera — „Ralf" p. K. Antoszewskiego. Dyplom II stopnia „Rap" p. W. Garczyńskiego. Dyplom III stopnia „Reno" p. Witolda Ekardta z Lućmierza.

Pozatem próbowane były bez rezultatu: „Grom" p. K. Antoszewskiego, „Aza" p. Kirchmajera, „Banker" p. St. Jaegera, „Agna" p. Lauera, „Rywal" p. L. Rudomskiego, „Mocca" p. K. Świderskiego i „Czarna Pantera" tegoż.

Ostatnie trzy psy przybyły już po losowaniu, dopiero około godziny 10-ej, ponieważ zatrzymane zostały pod Piotrkowem z powodu katastrofy kolejowej. Przybyły też bardzo wyczerpane długim pobytem w drodze, gdzie nawet nie można było ich karmić przez tyle czasu.

O.

OPIS ILUSTRACJI CZOŁOWEJ.

Czerwonak zabity i sfotografowany przez p. Stanisława Lilpopa na jeziorze Diamaa w Algierze po drodze z Biskry do Tougourtu dn. 18 lutego 1928 r. Ciemne pióra na skrzydłach są koloru karminowego.

ROZMAITOŚCI.

+ **Jarmark na dzikie zwierzęta.** — Niejaki p. Giran uzyskawszy aprobatę gubernatora jeneralnego Indo-Chin, pana Monguillota, postanowił urządzić targ na dzikie zwierzęta. Dżungle indo-chińskie obfitują jeszcze w mnóstwo dzikich zwierząt, na które ostrzą sobie zęby wszystkie ogrody zoologiczne świata. Zgromadzenie tedy tego towaru w znacznej ilości bez wątpienia ściągnie na targ licznych klientów. Przewidywania te projektodawcy okazały się zupełnie słuszne, bo gdy otwarto pierwszy targ na dzikie zwierzęta w Ban-Me-Thuot, do miejscowości tej indo-chińskiej zjechało tylu klientów i ciekawych, że wielu z przybyszów musiało nocować w namiotach. Jeden z uczestników targu, powróciwszy do Marsylji na parowcu „Compiegne", opowiada na łamach dziennika „Sémaphore de Marseille", że targ miał powodzenie wprost nadzwyczajne. Między innymi, przybyli do Ban-Me-Thuot znani podróżnicy podzwrotnikowi: Lanne i Duverne, dalej handlarze zwierząt: Hagenbeck z Hamburga i Reeds z San Francisko, wreszcie delegat londyńskiego ogrodu zoologicznego, Chapman. O rozmiarach tego jarmarku egzotycznego świadczy choćby to, że dostarczono nań czterystu słoni, oprócz mnóstwa tygrysów, panter, małp, krokodylów i t. d. Wobec osiągnięcia tak świetnych wyników, władze Indo-Chin postanowiły urządzić drugi taki targ w roku przyszłym, około Wielkanocy.

+ **Oliwa a ptaki.** — Śmiertelność ptaków morskich na wybrzeżach Anglji jest bardzo wielka. Winna jest temu oliwa, która pływa tam na powierzchni wody i przylega do skrzydeł ptaków, gdy te nurkują. Wskutek tego pióra skrzydeł lepią się tak bardzo, że biedne ptaki nie mogą już podnieść się w górę i giną powolną śmiercią męczeńską.

+ **W obronie jastrzębia.** — Przyrodnik amerykański, Waldron de Witt Miller, zatrudniony w amerykańskiem muzeum nauk przyrodniczych w Waszyngtonie, zbadawszy żołądki tysiąca zabitych jastrzębi, znalazł w dwu tylko szczątki przepiórek, pozatem zaś przeważnie tylko szczątki myszy i szczurów, a w szczątkach polowy szczurów, znalezionych w żołądkach jastrzębich — resztki jaj przepiórczych, pożartych przez te szkodliwe gryzonie. Zbadawszy dalej zawartość żołądków 562 wielkich jastrzębi rudoogoniastych, znalazł tylko w 54 szczątki ptactwa domowego lub zwierzyny, w 20 — szczątki innych ptaków, natomiast w 278 — szczątki myszy, w 131 — szczątki szczurów, a w 47 — owadów. Przy badaniu wreszcie innego gatunku wielkiego jastrzębia, mianowicie jastrzębia rudego, Miller osiągnął jeszcze wymowniejsze wyniki, na ogólną bowiem liczbę 220 jastrzębi takich, znalazł w trzech tylko żołądkach szczątki ptactwa domowego i w 12 — szczątki drobnego ptactwa, gdy tymczasem w żołądkach 102 jastrzębi znajdowały się szczątki myszy, a w żołądkach 42 — innych gryzoniów. Wreszcie w żołądkach 92 jastrzębi znalazł przeważnie tylko szczątki owadów! Takie same wyniki dało zbadanie znacznej liczby żołądków rozmaitych gatunków sów.

+ **Tygrys na weselu.** — W pewnej wiosce sjamskiej liczny orszak weselny, opuściwszy świątynię, w której dokonano ceremonji ślubnej, Z poblizkich zarośli wypadł ogromny tygrys i nie zważając na tłum weselników, rzucił się na pannę młodą, pochwycił ją zębami za ramię i pociągnął w stronę dżungli. Widząc to, pan młody rzucił natychmiast w zwierza dzidą, a obecny przypadkowo na weselu pewien europejczyk strzelił z karabinu. I ostrze dzidy i kula dosięgły tygrysa, wypuścił więc z paszczy ofiarę i ryknąwszy z bólu, cofnął się do zarośli.

+ **Zakaz przywozu psów.** Wobec protestów i skarg związków hodowców owiec i bydła, władze australijskie zakazały przywozu do Australji psów owczarskich rasy alzackiej. Protesty hodowców wywołała obawa, że przez krzyżowanie wilczków z dingiem (dingo), dzikim psem australijskim, może wytworzyć się rasa psów jeszcze silniejszych i odważniejszych, niż dingo, co zagrażałoby stadom owiec i bydła australijskiego. Odzywają się jednak też głosy, potępiające ów zakaz i twierdzące, że krzyżowanie dinga z wilczkami nie przedstawia groźniejszego niebezpieczeństwa od krzyżowania go z psami innej rasy.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO", dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, zwyczajem dorocznym, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadesłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie zaopatrzonej godłem tem samem, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 100, drugą — zł. 75, trzecią — zł. 50, czwartą i piątą po zł. 25.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1 października. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim"; pozostałe zaś — zależnie od uznania Redakcji.

„Jury" stanowi Komitet Redakcyjny.

Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie takiejż reprodukcji — jest dobra, ostra fotografja na papierze bromosrebrnym; kolor jej nie może być bronzowy (sepjowy).

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.